

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop., z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 9 czerwca 1906 r. Nr. 23.

Bomba w bukiecie kwiatów.

(Treść na stronie 2).



Bomba w bukiecie kwiatów.

(Do illustracyi tytułowej).

Od tygodnia wszystkie dzienniki świata rozpisywały się właśnie szeroko o wielkich uroczystościach w Madrycie z okazyi ślubu króla hiszpańskiego Alfonsa XIII z księżniczką Eną Battenberską, gdy wtem telegraf rozniósł wieść o zamachu na parę królewskich nowożeńców. Było to po akcie zaślubin.

W powrocie z katedry posuwał się orszak weselny bardzo powoli. Pochód zatrzymał się prawie całkiem na ulicy Calle Mayor, bardzo wąskiej i krótkiej, wychodzącej przed pałac królewski. — Gdzie ulica zwęża się najwięcej, znajduje się dom Nr. 88, własność królowej matki Krystyny; dostała ona go w spadku po zmarłym niedawno filantropie; dochody z czynszu przeznacza królowa na cele dobroczynne. Na trzeciem piętrze jest pensyonat. W nim zatrzymał się sprawca zamachu.

W chwili, gdy karoca weselna z parą królewską przejeżdżała tamtędy, rzucił on z okna bombę ukrytą w ogromnym i wspaniałym bukiecie kwiatów. Pocisk śmiercionośny padł między ostatnią parą koni a przedniemi kołami powozu. Była to godzina 2 minut 5 po południu. Dał się słyszeć huk ogłuszający. Przez minutę panowało zupełne zamieszanie. Kiedy widzowie oprzytomnieli, spostrzegli konie zabite, część przednią karety strzaskaną i wokoło trupy wśród mnóstwa rannych.

Powóz królewski chwilowo stanął i przechylił się po zamachu na bok, jakby miał się przewrócić. Szyby powozu były roztrzaskane, ale para królewska jakby cudem nie doznała żadnych obrażeń. Król był nieco blady, ale szybko przyszedł do siebie. Natychmiast wysiadł i oświadczył:

— Nam się nic nie stało.

Następnie pomógł królowej wysiąść z powozu, przyczem opuścił jej na twarz welon, aby uchronić ją od widoku strasznych skutków zamachu. Suknia królowej była obryzgana krwią. Król odprowadził małżonkę do powozu, którym jechała do kościoła. Przypominając sobie zamach paryski, wykonany w roku ubiegłym, powiedział:

— To także było 31 maja.

Ulica przedstawiała straszny wygląd, wszędzie spływała krew. Jeździec na koniu powozowym, bardzo młody chłopak, miał głowę oderwaną a tułów rozdarty. Jeden kapitan i dwu innych oficerów, oraz kilku żołnierzy, leżało nieżywych.

Para królewska zawdzięcza uratowanie życia wyłącznie tej właśnie okoliczności, że czoło orszaku ślubnego dosięgło już pałacu królewskiego, wskutek czego nastąpił chwilowy zastój. Gdyby karoca królewska była się posunęła jeszcze tylko trochę naprzód, królestwo musieliby zginąć.

Zwłoki ofiar przemieniły się przeważnie w masy nie do poznania. Fasady okolicznych domów są podziurawione odłamkami bomb. Członki ludzkie znajdywano w odległości 50 kroków.



Alfons XIII., król hiszpański i jego małżonka, z domu księżniczka Ena Battenberska, którzy wyszli nietknięci z zamachu anarchistycznego na uroczystości swojego wesela w Madrycie.



Posłowie ziemi warszawskiej: Grupa świeżo wybranych posłów do Dumy z gubernii warszawskiej w otoczeniu ich wyborców, zdjęta 21-go maja, w gmachu Stow. Techników na Włodzimierskiej przez zakład fot. Cz. Kulewskiego w Warszawie.

Na Calle Mayor jeszcze w kilka godzin po zamachu można było widzieć ogromne kałuże krwi i zwłoki ludzkie i koni, oraz szczątki powozu. Dopiero w pół godziny po zamachu zajęto się ciężko rannymi i przewieziono ich do szpitala, gdzie pięciu z nich zmarło. Policya urządziła formalne polowanie na anarchistów i aresztowała przeszło 100 osób.

Przy zamachu zostało zabitych 13 wojskowych i 11 osób cywilnych, a 26 wojskowych i 24 cywilnych ciężko poranionych, wiele zaś osób lekko.

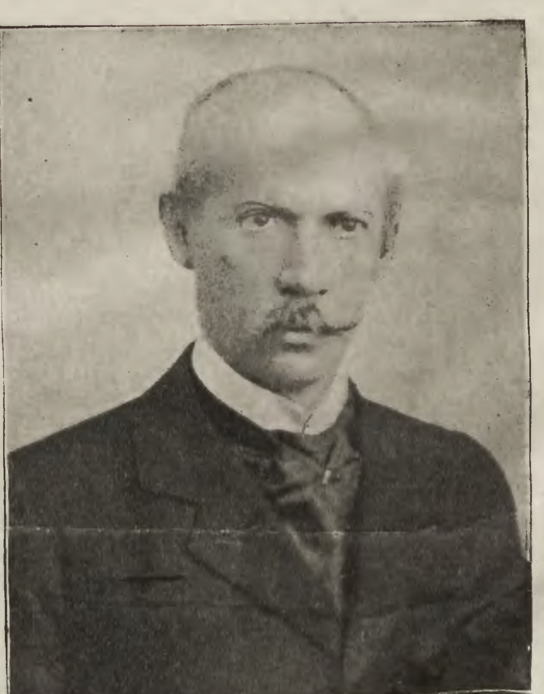
Nowy premier austryacki.

Baron Maksymilian Włodzimierz Beck, mianowany świeżo prezydentem ministrów w Austryi, był do tej pory mało znany szerszej publiczności, natomiast często mówiono o nim w kołach, zajmujących się polityką. Należy on do najlepszych znawców wszystkich spraw, dotyczących ugody austro węgierskiej; on też był jednym z pośredników austryackich przy zawieraniu traktatów handlowych z Niemcami i Włochami, co prawdopodobnie głównie skłoniło Koronę do poruczenia mu rozwiązania tego gordyjskiego węzła, jaki wytworzyła obecna sytuacya ustępstwem zrobionem Węgrom przez cesarza.

Bar. Beck urodził się w r. 1854 jako syn radcy dworu, dyrektora drukarni państwowej, a potem członka Izby Panów, gorliwego federalisty, który z całą energią pomagał za kulisami do utworzenia w roku 1871. federalistycznego gabinetu Hohenwartha Rodzina Becków wyznawała początkowo protestantyzm i dopiero później przeszła na katolicyzm. Bar. Beck skończył prawo na uniwersytecie wiedeńskim i dotychczas był najstarszym szefem sekcyi w ministerstwie rolnictwa.

Równocześnie prowadził dalej studya w zakresie prawa państwowego austryackiego i dzięki tym studyom powołał go arcyksiążę Karol Ludwik na nauczyciela swego najstarszego syna, dzisiejszego następcy tronu, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda. Br. Beck należy od lat wielu stale do otoczenia następcy tronu i był jego doradcą prawnym przy zawieraniu małżeństwa z hr. Chottekówną. Za zezwoleniem cesarza jest br. Beck stałym informatorem następcy tronu we wszystkich wypadkach wewnętrznego życia politycznego w Austryi.

Co do przekonań politycznych br. Beck wyznaje zasady umiarkowanie konserwatywne. Według opinii prasy wiedeńskiej, w chwili obecnej, jako prezes ministrów, byłby skłonnym do rewizyi całej ugody z Węgrami z wyjątkiem spraw, wchodzących w zakres sankcyi pragmatycznej. Odnośnie do reformy wyborczej, pragnąłby załatwić ją na podstawie kompromisu między stronnictwami i propozycyi, porobionych stronnictwom już poprzednio przez ks. Hohenlohego.



Nowy premier austryacki: Tajny radca dr. Maksymilian Włodzimierz baron Beck, mianowany po upadku gabinetu ks. Hohenlohego, prezydentem ministrów w Austryi.

Gimnastycy warszawscy.

W ubiegłą niedzielę w Warszawie przy dwutysięcznym napływie publiczności odbył się popis gimnastyczny uczniów szkoły p. Witolda Wróblewskiego na pięknie przybranym w hasła i godła placu szkoły handlowej w gmachu Zgromadzenia kupców m. Warszawy przy ul. Prostej l. 12, gdzie właśnie zrobił dla „Nowości Illustrowanych“ umyślne zdjęcia fotograficzne zakład J. Malewicza (Nowy Świat 61), których reprodukcye widzą tu nasi Czytelnicy.

Po przegraniu pobudki przez orkiestrę w takt pieśni: „Sokół nasz znak“, wystąpił oddział poszóstny do ćwiczeń na sprzętach: koniu, drążku, poręczach i skakaniu w dal i w wyż, a po ukończeniu popisów rozdano uczniom odznaczenia z każdego zastępu po pięć nagród, przy dźwiękach hymnu.

Zaraz potem cały hufiec w liczbie 84, wystąpił do ćwiczeń wolnych, przechodząc pięknym marszem.

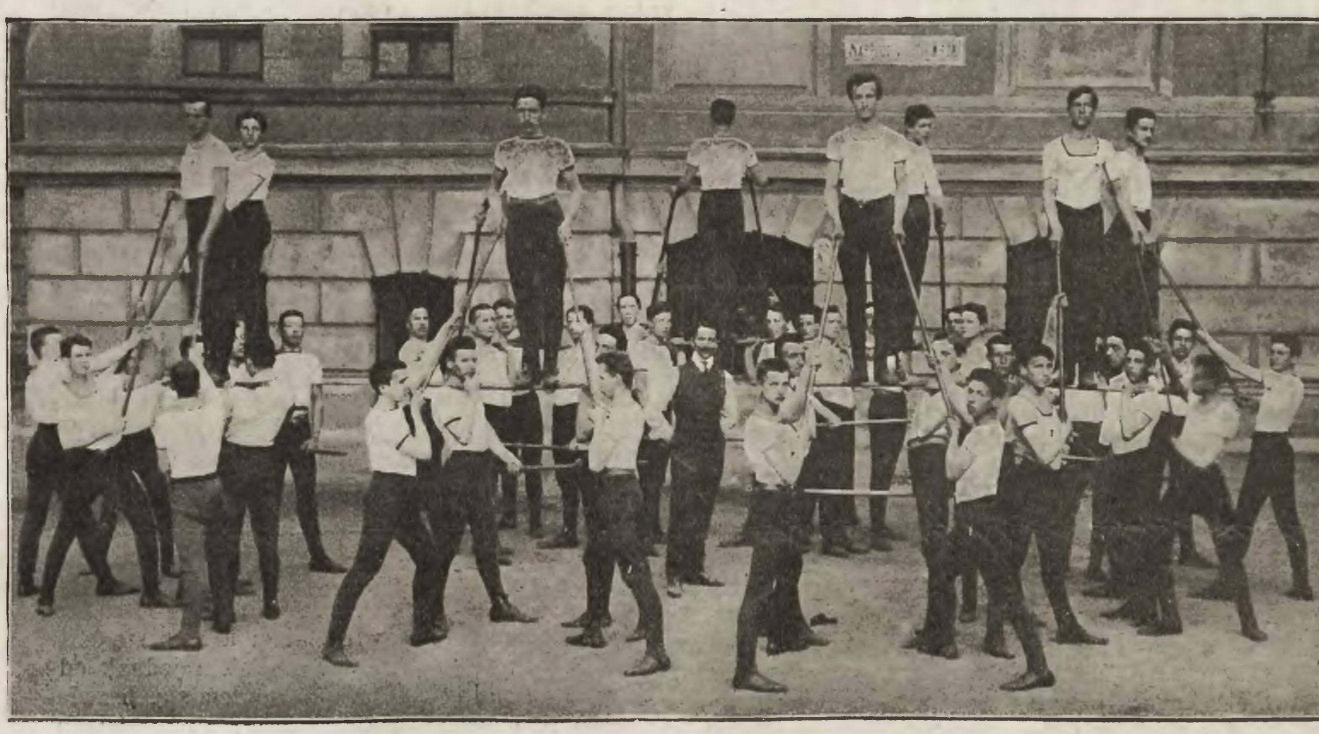
Ćwiczenia szły gładko i sprawnie, prowadzone „karnie, zgodnie i godnie“ przez naczelnika.

Okazicielem był p. Sikorski, uczeń kl. VI. „Gwoździem“ popisu były ćwiczenia z laskami i budowy piramid, do których stanęło 48 uczniów, pokazując 5 obrazów z precyzyą; najlepiej jednak podobały się piramidy, robione bez zarzutu. Huragan oklasków był nagrodą dla ćwiczących.

Po skończeniu ćwiczeń z laskami gremium nauczycielskie szkoły w serdecznych a podniosłych słowach dziękowało p. E. Neblowi za dzielną i owocną pracę, a uczniowie obdarzyli go piękną papierośnicą z napisem. Na zakończenie, jako nowość w Warszawie, 22 uczniów grało w footbal z całym zasobem młodzieńczego zapału.

* * *

Illustracye nasze przedstawiają trzy grupy z powyższego popisu: jedna wyobraża wszystkich ćwiczących wychowanków szkoły prof. Wróblewskiego, na drugiej widzimy malowniczy obraz budowania piramid, a na trzeciej ładne i zręczne ćwiczenia z laskami. W pośrodku ćwiczących stoi p. Edmund Nebel, kierownik zapasów.



Umyślnie dla „Nowości Ill.“ fot. J. Malewicz.

Gimnastycy warszawscy: Popis gimnastyczny wycnowańców szkoły prof. Wróblewskiego w Warszawie: piramidy.



Umyślnie dla „Nowości Ill.“ fot. J. Malewicz.

Gimnastycy warszawscy: Odbyty w ubiegłą niedzielę popis gimnastyczny wychowańców szkoły prof. Wróblewskiego w Warszawie: grupa ogólna. W pośrodku naczelnik „Koła“, Edmund Nebel.



Umyślnie dla „Nowości Ill.“ fot. J. Malewicz.

Gimnastycy warszawscy: Popis gimnastyczny wychowańców szkoły prof. Witolda Wróblewskiego w Warszawie, odbyty w ubiegłą niedzielę w gmachu szkoły handlowej Zgromadzenia kupców miasta Warszawy przy ul. Prostej, pod kierownictwem p. Edmunda Nebela: ćwiczenia z laskami.

OFIARY WAMPIRÓW.

Romans z życia przez Gr—ego.

11 Ciąg dalszy.

Doktór Wrzesiński, który dowiedziawszy się, że żona Anielskiego została zabrana z mieszkania przez swego ojca i odjechała z nim z Warszawy, a powierzyła podobno komuś ze znajomych dziecko swoje — zdecydował się na krok stanowczy, od którego powstrzymywała go przedtem pani Anielska.

Nagła śmierć przyjaciela bez przyczyn, wydawała mu się tak nieprawdopodobną, a myśl, że Jan mógł tylko w letarg popaść, prześladowała tak uporczywie młodego lekarza, że postanowił na własną rękę zająć się przeprowadzeniem sekcyi, upewniwszy się, że mu w tem nie może przeszkodzić wdowa.

Już było zadecydowane, że z dolnego kościoła świętego Aleksandra, zostanie wieczorem trumna przeniesiona do prosektoryum, w ostatniej chwili jednak z obawy, żeby naraz mimo wszystko nie wróciła Wanda, której wyjazd w tych okolicznościach, nie mógł w ogóle pomieścić się w głowie doktora Wrzesińskiego, postanowiono w gronie paru kolegów nieboszczyka, sprawę urządzić nieco inaczej. Mianowicie po załatwieniu wszelkich formalności urzędowych w tym celu, otwarto późnym wieczorem trumnę na katafalku w krypcie u świętego Aleksandra, wyjęto ciało, umieszczono je w przygotowanej skrzyni, w której zaraz zostało ono odesłane do prosektoryum, a tymczasem próżną trumnę zaśrubowano z powrotem i pozostawiono na katafalku, że w razie powrotu Wandy byłaby się rzecz nawet nie wydała, na tem zaś właśnie zależało Wrzesińskiemu.

Oto dziś rano miał on udać się do prosektoryum dla uczestniczenia w akcie sekcyonowania ciała przyjaciela i już w godzinę później nie byłby go w domu zastał ów upiór z tamtego świata, przed którym Zośka drzwi zatrzasnęła ze strachu.

Ułożywszy w łóżku własnem zmartwychwstałego Jana, kiedy ten zasnął pokrzepiającym snem spokojnym, pobiegł młody lekarz zapytać się na sali sekcyjnej, jakim to sposobem opuścił Jan prosektoryum, w jakich okolicznościach obudził się, w ogóle bowiem, nie mogąc się doczekać licznych interesujących go szczegółów z ust samego Anielskiego, zapragnął tam zasięgnąć informacyi.

Służba przy stołach sekcyjnych opowiadała mu tylko tyle, że jedno z przygotowanych do obdukcyi ciał, zginęło tej nocy; nie było zaś żadnych innych śladów i wszystko wskazywało na to, że ciało zostało potajemnie skradzione i wyniesione z budynku w sposób niesłychanie zręczny. Więc zapytywał jeszcze, czy zwłoki znajdowały się już na stole sekcyjnym pod nóż gotowe, czy też jeszcze w poczekalni pozostawały przez noc. Upewniono go, że po przyniesieniu tego ciała do prosektoryum nikt go jeszcze nie ruszał, ani nawet nie rozbierał....

Kiedy Wrzesiński wrócił do domu, chory spał jeszcze w jego łóżku. Niebawem rozbudził się i przytomnie poznał przyjaciela siedzącego przy łóżku i troskliwie nad nim pochylonego.

Powoli zasypywał Jana pytaniami, kierując zręcznie sprawą, aż wreszcie żywy nieboszczyk zaczął bałamutnie opowiadać swoje przygody, ale słów jego słuchając, Wrzesiński już poprostu obawiał się, czy ten biedak pod wpływem strasznych przygód nie popadł w pomieszanie zmysłów. Wszystko bowiem, co w sposób bałamutny opowiadał teraz, wydawało się tak dalece nieprawdopodobne, iż nie należało nic innego przypuszczać, jak tylko, że umysł został istotnie zamroczony.

Jan popadł w nową drzemkę, a kiedy potem obudziwszy się, zaczął opowiadać siedzącemu przy łóżku Wrzesińskiemu swoje dalsze przygody, zwłaszcza od chwili znalezienia się w letargu, jego przyjaciel ze zdumieniem nabierał przekonania, że właśnie najjaśniej, bez bałamuctwa, jak przedtem, a nawet najrozsądniej zdaje pacyent sprawę z godzin swego snu letargicznego.

Ta druga część zeznań jego najbardziej, rzecz prosta, interesowała pod każdym względem przyjaciela i lekarza, mimo, że nie mniej byłby on pragnął dowiedzieć się czegoś dokładniej i pewniej o ostatnich chwilach Jana przed letargiem, o tym właśnie strasznym wypadku, o którym zupełnie nieprzytomnie i ciemno wspominał Anielski, że skutkiem niego umarł pozornie: tak mocno wstrząsnął on nim i jak grom poraził jego ducha.

— A jednak ja w tym stanie nie traciłem zrazu przytomności... owszem, pełna świadomość nie opuszczała mnie ani na chwilę, od kiedy padłem zemdlony do stóp żony, aż do owego momentu, kiedy to usłyszałem tuż nad swoją głową zaśrubowywanie wieka trumny, w której leżałem.

Jan przy tych słowach dźwignął się na łóżku i oparł na łokciu.

— Bo ja się w słuch zamieniłem i byłem jak gdyby czułem a bezwładnem uchem... Wiedziałem wszystko, co się przy mnie działo, ale nie drgnąłem, palcem ruszyć nie mogłem, żeby protestować... I co ja słyszałem, czego ja się nie dowiedziałem przez ten czas okropny mego snu grobowego...

Przymknęły się powieki Jana i głowa opadła na poduszki, a Władysław pochylił się nad nim, lecz zaledwie czoła jego dotknął swą dłonią, ten spróbował zaraz dźwignąć się z powrotem i usiadł na łóżku, patrząc na kolegę szeroko otwartemi oczyma.

— Ja słyszę jeszcze ten wielki krzyk mojej żony... Ale potem już nic... nic... Wieko trumny przygniotło mnie i nie wiedziałem nic, co się działo ze mną, ani co koło mnie... Potem jednak odzyskałem przytomność... Nie obudziłem się, bezwładność nie opuściła mnie jeszcze, tylko świadomość wróciła ponownie, straszna świadomość... Sądziłem, że mnie już pochowano, a ponieważ pojmowałem, że wszelki ratunek, wszelka myśl, czy próba ocalenia są wykluczone, przeto zdecydowałem się umrzeć spokojnie, umrzeć na prawdę.

Władysław Wrzesiński w najwyższem podnieceniu przysłuchiwał się jego słowom, wpatrzony w oczy przyjaciela, a ten odetchnąwszy nieco, mówił dalej trzeźwo.

— Wtem doznałem wrażenia, jakbym w około słyszał tętno życia, jakąś w dali huczącą wrzawę, jakieś nawet bliżej szmery... Nie sposób tedy, bym się znajdował w grobie... Zaczynałem się oryentować, iż widocznie jeszcze nie jest po pogrzebie... Naraz uczułem dotkliwe zimno, a jednocześnie doznawałem wyraźnie wrażenia, że od pewnego czasu prąd powietrza uderza mnie w twarz, czego na pewne przedtem nie było... I wówczas to po raz pierwszy poruszyłem ręką, żeby się przekonać, czy jestem przykryty wiekiem trumny... A kiedy palce moje nie natrafiły na nic, chociaż coraz wyżej podnosiłem rękę, przyszło mi na myśl, iż muszę chyba znajdować się jeszcze nie na cmentarzu i nie pod ziemią, ale w kościele, w kaplicy przedpogrzebowej. I tylko zacząłem się zastanawiać, dla jakich przyczyn można było na katafalku kazać trumnę otworzyć... Powietrze, którego musiało mi przedtem brakować, wciągałem teraz głębiej nosem i ustami, czując je wyraźniej, jak mnie coraz silniej w twarz uderzało. Całem ciałem wreszcie zaczęło wstrząsać coraz dokuczliwsze zimno... Wtedy oczy otwarłem, poruszyłem się, na bok się przewróciłem i wspierając się z trudem na ręce, starałem się dźwignąć z twardego leżenia... Usiadłem, patrzę i od razu, nie przestraszywszy się ani trochę sam będąc lekarzem, zrozumiałem, iż znajduję się w prosektoryum, z trumny przed chwilą wyjęty i do sekcyi przygotowany...

To mówiąc, wpatrzył się Jan w twarz Wrzesińskiego, wypogadzającą się pod wpływem słów ostatnich.

— Tobie mam to do zawdzięczenia, Władku... Wrzesiński uśmiechnął się.

— W trumnie słyszałem, jak bardzo nastawałeś na to, by ciało moje sekcyonować... A potem rozpacz mnie ogarnęła, gdyś ty przekonany, żem umarł naprawdę, zgodził się pozwolić na pogrzeb bez sekcyi... Więc tobie przecież spokoju nie dała myśl, że ja nie umarłem... Z kościoła kazałeś mnie wziąć z trumny do prosektoryum... Tem właśnie ocaliłeś mnie, Władysławie.

— Więc jakżeś ty się, Janku, stamtąd wydobył?

— Rozejrzałem się dokoła, otaczały mnie same trupy, ale byłem przeświadczony, że ja sam trupem nie jestem i żyję, skoro już nietylko słyszę, ale najwyraźniej widzę wszystko, rozpoznaję, pojmuję i odczuwam, władzę mam w członkach... Więc zerwałem się z miejsca i chwiejąc się, dobiegłem do drzwi. Nie były zamknięte. Wszedłem na salę sekcyjną. Tu wśród nocy nie było nikogo. Ale znałem, jak wiesz, dokładnie wszystkie kąty w tem prosektoryum, więc łatwo wydostałem się na korytarz. Nie przyszło mi na myśl, żeby kogo budzić, dawać komuś znać o tem, co zaszło, nie, ja chciałem tylko wydostać się co prędzej z tego budynku... Trafiłem aż do odźwiernego. Spał... Po co go budzić, kiedy wiem, gdzie wiszą klucze, poznaję nawet, który klucz jest od drzwi w bramie głównej na ulicę prowadzącej. Otwarłem sobie sam i wybiegłem na miasto.

— A zdaje się, że ledwieś się stamtąd wydostał, zauważono nietylko pęk kluczy wiszący u drzwi otworem zostawionych, ale spostrzeżono brak jednego ciała i wszczęto jeszcze wśród nocy alarm z powodu wykradzenia trupa... Opowiadano mi rano o tem... Policya potrzebowała coś tam sprawdzić, przyszła do prosektoryum, dzwoni do stróża, ten rozbudzony nie znajduje kluczy na miejscu i okazuje się, że drzwi otwarte, pęk kluczy wisi przy zamku; więc badanie, śledztwo, liczenie trupów... i w ten sposób spostrzeżono się...

— A ja tymczasem biegłem przedewszystkiem do domu i rzecz szczególna, wyobraź sobie, Władku, wpadam na Jerozolimską... Brama kamienicy mimo nocnej pory otwarta... Lecę do mieszkania swego, drzwi otwarte, wpadam do sypialni, pustka, przerażająca pustka... Aż tu w swoim gabinecie spłoszyłem złodzieja, który korzystając z okazyi, zakradł się podrobionymi kluczami do opuszczonego mieszkania. Zdaje się, że w porę przybyłem, ponieważ nie zauważyłem śladów kradzieży, wszystko zastałem na swojem miejscu, a złodziej, który zaczynał buszować, wyrwał mi się z rąk, kiedy uciekającego z za szafy usiłowałem zatrzymać.

— I brama była otwarta — dorzucił Wrzesiński — więc naturalnie uciekł łatwo.

— Doszukałem się kluczy do garderoby, żeby się nieco przebrać. W ubraniu, które wdziałem, natrafiłem w kieszeni na srebrnego rubla; musiałem go tam wsunąć po jakiejś wizycie u chorego, kiedy byłem ostatni raz w tem ubraniu... Męczył mnie głód okropny, więc z tego domu przeraźliwie pustego uciekłem na ulicę i jak zwierzę żeru, szukałem instynktownie, gdziebym się mógł posilić... Przepraszam cię, Władku, może mi dasz co zjeść, bo znowu czuję, że mnie głód męczy.

Kolega spełnił jak najchętniej jego życzenie, poczem pozostawiwszy go w domu, pośpieszył na miasto dla odbycia kilku niecierpiących zwłoki wizyt lekarskich, ciesząc się, że niepotrzebnie przeraził się z początku myślą, jakoby Jan popadł pod wpływem wrażeń z letargu w chwilowy obłęd. Końcowe opowiadania Anielskiego o swojem cudownem ocaleniu były prowadzone już w sposób tak rozsądny, jasny i naturalny, w przeciwieństwie do początkowych zeznań, na temat zdarzeń, poprzedzających letarg — że przyjaciel lekarz czuł się już zupełnie uspokojonym. Pocieszał się więc nadzieją, że gdy pierwsze silne wrażenie przebytego letargu i szczęśliwego zmartwychwstania przeminie i Janek sobie dostatecznie wypocznie, będzie można od niego dowiedzieć się w sposób zrozumiały, czegoś o wypadku niezwykłym, który musiał spotkać Anielskiego — jak się Władysław domyślał — i który wywarł nań wrażenie tak potężne, że go przyprawił aż o śmierć pozorną.

Na mieście zabawił Wrzesiński względnie dłużej, niż zamierzał, to też wreszcie przyjechał pośpiesznie dorożką do domu. Za powrotem swoim zastał już Jana ubranego. Wybierał się on nawet na miasto.

Wówczas doktór Wrzesiński zatrzymał kolegę zapytaniem poważnem:

— Czy nie byłbyś łaskaw, mój Janku, pozostać u mnie jeszcze chwilę.. Winieneś mi bowiem jeszcze parę wyjaśnień w nader ważnych sprawach...

W oczach Anielskiego odmalowało się nagłe przerażenie. Usiadł z powrotem na krzesło.

— Proszę, słucham cię.

— Kiedyś mi z początku zacząłeś opowiadać o wszystkiem co przebyłeś, mówiłeś w podrażnieniu, czemu ja się zresztą nie dziwię, ale i ty mój drogi, nie dziw mi się, że ja z tego nie wiele zrozumiałem. A raczej mam nieco pojęcia dopiero o tem wszystkiem, co się z tobą działo od chwili, gdy popadłeś w sen nieszczęsny... Otóż z owych bałamutnych twoich opowiadań przypominam sobie, że wymieniałeś niejednokrotnie nazwisko Czerskiego... zdaje mi się księcia Mirosława Czerskiego... Czy nie mylę się?

Paniczna trwoga wystąpiła na twarz Jana Anielskiego. Oczy jego rozwarły się szeroko, dziwnie patrząc na przyjaciela. Przez chwilę milczał on, poczem wyrzekł głucho tylko jedno słowo:

— Tak.

Doktór Wrzesiński ciągnął dalej powoli, obserwując Jana z uwagą:

— Otóż o księciu Czerskim krążą po mieście osobliwe pogłoski... Powiadają ludzie o nim niestworzone rzeczy. Nazywają go wampirem, zapewniając, że człowiek ten każe sobie dostarczać małych dzieci, podobno zazwyczaj sieroty lub podrzutki wybierając... i krew z nich wysysa, wypija...

Anielski usłyszawszy te słowa, westchnął głęboko i na chwilę twarz ukrył sobie w dłoniach, a kiedy je od oczu oderwał, spoglądał przed siebie wzrokiem dzikim, strasznym...

Doktór Wrzesiński zaciął zęby.

Jemu teraz zaczynało w głowie świtać. On teraz dopiero — widząc, co się z Janem dzieje, zaczął się domyślać okropnej, nagiej prawdy...

A jednak nie zamilkł.

Przeciwnie, tembardziej uznał za stosowne śledzić dalej i w tym celu mówił.

— Poprzedniej nocy w pałacu księcia Mirosława Czerskiego w Alejach Ujazdowskich umarło nagle małe dziecko, obce dziecko... Uwięziono już matkę tego dziecka w chwili, gdy zamierzała utopić się w Wiśle...

Doktór Anielski drgnął.

— Matkę tę aresztowano pod zarzutem dzieciobójstwa...

Jan chciał coś powiedzieć, już usta otwarł, ale kiedy Wrzesiński nie doczekał się jego słowa, ciągnął dalej, opowiadając powoli, wyraźnie:

— Jeden z komisarzy policyi wnioskował, że kobieta ta jest zupełnie niewinną. Zasięgał on informacyi rozmaitych i właśnie spotkał się również z owemi krążącemi o księciu pogłoskami, które nazywają tego milionera wampirem. Udał on się osobiście zaraz do jego pałacu, ale kiedy stanął wreszcie przed księciem, cała historya wydała mu się po prostu śmieszną.

Wyraźny niepokój trawił doktora Anielskiego podczas słów powyższych, a kiedy Władysław skończył, Jan ze zdumieniem spojrzał na niego i w milczeniu wyczekiwał dalszego ciągu.

— Następnie zbadano ciało zmarłego dziecka... Podejrzane znaki, poprostu ślady zbrodni, jakie natrafiano na trupku, zmieniły jednak sytuacyę do tego stopnia, że w policyi zdecydowano się wydać polecenie aresztowania samego księcia Czerskiego.

Jan poruszył się niecierpliwie na krześle.

— Tymczasem — kończył Władysław — policya już nie odnalazła księcia-wampira... Czerski wraz ze swą córką zniknął nagle z Warszawy. Wyjechali. Nawet służba i to ostro badana, nie mogła udzielić wyjaśnień, kiedy, jak, dokąd... Dość, że ich niema.

Wrzesiński wiedział, patrząc w twarz Jana, jak bolesne cierpienia przebywał ten człowiek teraz, słuchając opowiadań kolegi. Zamilkł.

Przez długą chwilę panowała w pokoju cisza.

Potem pierwszy odezwał się doktór Anielski, a głos jego drżał jak w febrze.

— Widzisz Władku... ja właśnie miałem ciebie prosić... chciałem, uważasz, z twoją pomocą opuścić Europę... postanowiłem zniknąć na zawsze... uciec stąd zamierzałem... Ale teraz nie mogę... nie powinienem... uciekać mi już nie wolno... Wiedz o tem, mój przyjacielu, że ta aresztowana dziewczyna jest najzupełniej niewinna.

Podniósł się z krzesła.

— Mordercą jej dziecka... ja jestem...

I chwiejnym krokiem, bez pożegnania z przyjacielem, zmierzał prosto ku drzwiom.

Zabiegł mu drogę kolega Wrzesiński.

— Dokąd chcesz iść, Janku?

— Oddać się w ręce sądu!

To powiedziawszy, znalazł się w przedpokoju.

Wrzesiński przemocą chciał go wciągnąć z powrotem do swego gabinetu, lecz Anielski opierał się.

— Zastanów się, Janie — perswadował mu — tego pod żadnym warunkiem zrobić nie możesz.

— Muszę — surowo rzekł Jan, prąc ku drzwiom na korytarz.

— Zmiłuj się... pomyślże o swojej żonie... o swojem dziecku.

— O żonie... ja nie mam żony... nie mam żony ani dziecka — odpowiedział doktór Jan Anielski głuchym głosem i potoczył w koło siebie wzrokiem obłędnym, poczem ku drzwiom się rzucił i zanim Władysław zdążył go powstrzymać, wybiegł na schody.

Wkrótce później przedstawił się Jan sędziemu śledczemu, który struchlał na jego widok.

Opowiadał Anielski długo, a słowa jego były często tak bez sensu i bez związku, że sędzia nie wątpił ani na chwilę, iż ma do czynienia z człowiekiem obłąkanym; mimo to zadawał mu nowe pytania, na które młody doktór odpowiadał chętnie, ale coraz bardziej zawile, że sędzia wreszcie nie mógł się zoryentować w tej całej dziwnej historyi.

Niebawem dyrektor więzienia powierzał doktora Anielskiego dwom dozorcom, nakazując dobre obchodzenie się z więźniem, o którym wyraził się w tonie poważnym, że jest ciężko chory.

Kiedy go odprowadzono do osobnej celi, zwrócił się dyrektor do jednego z urzędników:

— Zwaryował biedak, przewróciło mu się w głowie zupełnie ze strachu... Doktór Wrzesiński ma racyę. A szkoda chłopa, był porządny człowiek i tęgi lekarz.

W godzinę później zjawił się dyrektor w jego celi i uspokajał chorego:

— Owszem, owszem... przyprowadzimy tutaj tę dziewczynę... możesz pan być pewny, że ona zostanie uwolnioną... To rzecz zupełnie naturalna, panie doktorze.

I znowu został Jan sam w czterech ścianach ponownie żywcem pogrzebany. Po raz drugi w życiu w tak krótkim czasie doznawał wrażenia pobytu w grobie.

Myśl jego teraz nie opuszczała ani na chwilę biednej Marylki Reman. On właśnie, który jej obiecał przyjść z pomocą, on sam wtrącił ją w przepaść tak niewysłowionego nieszczęścia.

Czas mijał bez zmiany, a myśli Jana zaprzątał tylko ten jeden temat.



...I wówczas to po raz pierwszy poruszyłem ręką, żeby się przekonać, czy jestem przykryty wiekiem trumny.

Odwiedził go znowu dyrektor więzienia i powtórnie zapewniał, że doktór oczekuje tylko widzenia się z panną Reman.

— Niechże pan będzie cierpliwy, przyprowadzimy tu panu matkę tego dziecka... Zobaczysz się pan z nią i rozmówicie się, poczem łatwo sprawa się wyjaśni i biedna kobieta zostanie uwolniona.

Ale kiedy samotne oczekiwanie zaczęło mu się już dłużyć, rozejrzał się Anielski po swojem otoczeniu, od chwili bowiem wejścia nie popatrzył nawet, gdzie się znajduje.

I naraz gorzki uśmiech wykrzywił twarz jego.

— A zatem zamknięto mnie w celi dla chorych umysłowo — mruknął półgłosem do siebie i zaczął nad tem rozmyślać, czyby to właściwie nie było lepiej, gdyby on istotnie albo umarł, albo zwaryował.

Zaczynał się niecierpliwić. Mijały godziny, wlokąc się dla niego niemiłosiernie długo.

Wstał i chcąc się przejść, chcąc nieco powietrza zaczerpnąć, uczuwszy w celi duszność, zwrócił się do drzwi. Próbował je otworzyć, lecz zastał je zamknięte i to zamknięte na sposób więzienny.

Ogarnęły go ponure myśli i zatrzęsła nim trwoga.

— Więc mnie tu mają w istocie za waryata — jęknął i mimowoli zsunął się przy drzwiach na kolana.

Uspokoiwszy się nieco, znowu rozmyślał nad swoim losem. Sprawa przedstawiała mu się już teraz jasno. Nie wątpił, że w tej celi, w której się dziś znalazł, może, czekając na wyrok sądowy, spędzić czas długi.

Zapewne poddadzą go dłuższej obserwacyi lekarskiej. Zanim psychiatrzy osądzą go, może dużo czasu upłynąć...

Tymczasem będzie się wlokło śledztwo sądowe.

A tej niewinnej istoty nie wypuszczą dopóty z więzienia, przez niego każą jej siedzieć w zamknięciu, jak zbrodniarce.

Nie dość na tem. Przez ten czas żona jego zaślubi człowieka wstrętnego i nikczemnego, zmuszona do tego przez swego ojca.

A jego dziecko, jedyne dziecko jego, stanie się nową ofiarą owego wampira — któremu on zawdzięcza dziś wszystkie swoje nieszczęścia.

Kiedy dozorca więzienny zjawił się w jego celi, żeby mu podać posiłek, doktór Anielski zatrzymał go:

— Proszę oświadczyć panu dyrektorowi, że pragnę koniecznie pomówić z doktorem Wrzesińskim... Jeżeli można, to chciałbym jeszcze dzisiaj... Doktór Władysław Wrzesiński, lekarz... Pan dyrektor już będzie wiedział. Proszę nie zapomnieć zaraz mu to powiedzieć.

A kiedy dozorca, milcząc, spojrzał na niego podejrzliwie, więzień dodał jeszcze:

— Toby mnie uspokoiło, gdybym się z tym panem mógł zaraz dzisiaj zobaczyć.

Dozorca przypomniał sobie, że dyrektor nakazał mu obchodzić się z tym nowym więźniem dobrze i łagodnie, zresztą zauważył sam, jak dyrektor go traktuje. To też przyrzekł wypełnić życzenie.

I w istocie stało się zadość Anielskiemu, gdyż nie minęła godzina, a już we drzwiach jego ponurej celi zjawił się przyjaciel i kolega, doktór Władysław Wrzesiński.

W szponach zbója.

Niecierpliwią się niewątpliwie Czytelnicy w zupełnej nieświadomości losu, jaki spotkał porwaną księżniczkę Laurę.

Dla zaspokojenia tedy słusznej ciekawości zaprowadzimy ich śladem uciekającego z Warszawy samochodu.

Oszołomiona piekielną jazdą córka księcia Czerskiego widziała tylko tragiczną scenę zgładzenia swojej zaufanej Bronki przez strasznego Kosiarę i odtąd nie zdawała już sobie sprawy, co się z nią dzieje. Automobil pędził, jak wiatr. Prąd powietrza zapierał w niej dech. Osłabienie ogólne przyprawiało ją niemal o stan omdlenia. Postoje ich, niezbędne ze względów technicznych maszyny, trwały tak krótko, że nie mogła nigdy z niczego wywnioskować, gdzie się znajduje i dokąd jedzie. Na szosie obrazy okolicy migały przed jej oczyma tak błyskawicznie, jak widoki z okien pociągu ekspresowego.

Dotychczas mimo, że, jak jej się zdawało, podróż trwała już szereg godzin, nie zatrzymali się ani razu w żadnem mieście.

Nakoniec Kosiara skierował samochód z gościńca w boczną drogę i naraz przystanął wśród lasu. Zeskoczył sam, poczem księżniczkę porwał na ręce z siedzenia i opuściwszy automobil, niósł ją pośpiesznym krokiem, w milczeniu zupełnem, przez jakieś kręte ścieżki wśród gęstwiny leśnej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ostatni na żołdzie narodowym.

Przez szereg lat zbieraliśmy składki dla zasilania skromnych funduszów Towarzystwa, którego celem było pomagać w starości weteranom polskich wojsk z r. 1830 i 31. Na wszystkich obchodach patryotycznych spotykaliśmy tych czcigodnych starców osiwiałych, którzy w powstaniu Listopadowem, jak lwy, walczyli o wolność Ojczyzny. Na dźwięki hymnów narodowych powstawali z miejsc w swoich czarnych czamarkach ze wstążeczką orderu „Virtuti militari“, usta drżały im wzruszeniem, w oku łza kręciła się, długo hamowana przez wiarusa, aż wreszcie spadała na duży wąs biały, a wtedy ręka zaciśnięta kurczowo macała się po boku, jakby ją wspomnienie pobudzało do dawnego przyzwyczajenia, jakby szukała pałasza... Znaliśmy wszyscy jeszcze tych weteranów z pod Stoczka, Grochowa.... I chodziliśmy na ich pogrzeby coraz częściej.... Aż nakoniec czytało się w dziennikach, że owych wiarusów z pod Chłopickich, Dwernickich, Skrzyneckich pozostała jedynie garstka maleńka: z tych niektórzy byli na łaskawym chlebie przy wnuczkach, kilku zaś, rodziny pozbawionych i ubogich pozostawało pod opieką Towarzystwa, które im wypłacało stale żołd narodowy do końca życia z funduszów publicznych społeczeństwa Niedawno temu publiczność dowiedziała się, iż Towarzystwo opieki nad weteranami z r. 1831 rozwiązuje się, bo nie ma już dla kogo istnieć. Pozostał przy życiu. oprócz kilku, niepotrzebujących dożywotniego wsparcia, jedyny weteran, któremu ze Lwowa do śmierci będzie miesięczną pensyę posyłało Towarzystwo uczestników powstania z r. 1863 i 4. Tego ostatniego właśnie i jedynego już na żołdzie narodowym pozostającego żołnierza z wojny Listopadowej o niepodległość Polski — przedstawia nasza fotografia. Jest to staruszek dziewięćdziesięciopięcio letni. Cały wiek przeżyty znać w tej postaci szanownego dziadunia, prawnuczętami otoczonego. Nie łatwo nam było zdobyć jego fotografię, staruszek bowiem mieszka na głębokiej prowincyi, w Tartakowie pod Sokalem. Nazywa się Michał Lewandowski. Urodził się jeszcze w ówczesnem województwie warszawskiem. Po wybuchu rewolucyi Listopadowej w Warszawie w roku 1830, dzielny młodzieniec, który nie należał do wojsk regularnych, wstąpił natychmiast ochotnie do armii polskich powstańców. Przyjęto go do pułku piechoty, z którym młody żołnierz brał udział w całym szeregu bitew pierwszorzędnych. Między innemi bił on się pod Stoczkiem i pod Grochowem. Ranny ciężko pod Boremlem, przekradł się za kordon do Galicyi i tu w pewnym dworze patryotycznym ukrywał się długo jeszcze po skończeniu się wojny. Odtąd całe życie spędzał już w Galicyi. A szło mu ono po grudzie. Przez szereg lat wreszcie cierpiał stary wojak taką nędzę, że mimo starości późnej, bo już mając siedemdziesiąt kilka lat, był zmuszony przyjąć ciężkie obowiązki stróża gminnego w Tartakowie, tam właśnie, gdzie do dziś dnia mieszka. Wówczas to dopiero dowiedziano się, że biedakowi należy się opieka publiczna, jako żołnierzowi polskiemu z powstania Listopadowego. Zajęło się nim Towarzystwo weteranów z roku 1831 i przyjęło go na żołd narodowy, który od kilku miesięcy pobiera już ten ostatni i jedyny wiarus — Michał Lewandowski. Z rozrzewnieniem spoglądamy dzisiaj na podobiznę człowieka, który był uczestnikiem takich o wolność bojów termopilskich, jak krwawa walka w świętym dla nas gaju na polach Grochowa.



Ostatni na żołdzie narodowym: Weteran wojsk polskich powstańców z r. 1830 i 31, Michał Lewandowski w Tartakowie pod Sokalem, jedyny już dziś pozostający na żołdzie narodowym z funduszów publicznych.

Kurs kramarski w Tarnopolu.

Zdawałoby się na pozór, że w kraju takim, jak Galicya, pozbawionym wielkiego przemysłu, w kraju nawskróś ubogim, o życiu politycznem szerokich mas ogółu mowy być nie może. A jednak rzeczywistość mówi co innego. Właśnie w Galicyi społeczeństwo jest może aż zanadto rozpolitykowane, ale na swój specyficznie galicyjski, odrębny sposób. Wodzowie polityczni, grający na uczuciach i przekonaniach ludności, nie mogą jakoś żadną miarą dojść do przekonania, że w pierwszym rzędzie należy lud podnieść ekonomicznie, a potem ich rola nawet zmieni się o wiele na lepsze. U nas działalność polityczna zawodowych polityków zasadza się na gadaniu, na wygłaszaniu szumnych frazesów, na robieniu polityki wielkiej, a nie na tem właśnie, ażeby ludność podnieść do dojrzałego życia politycznego, ażeby zrobić sobie z ludu oparcie, któreby pozwalało im wszcząć dopiero rzeczywistą pracę w imieniu milionów.

Zrozumiała to, zdaje się, inteligencya ruska w Tarnopolu, która w tem mieście urządziła niedawno kramarski kurs handlowy dla włościan. Kurs ten był niejako początkiem szerokiej działalności, zmierzającej do ekonomicznego podniesienia ludu. Urządzony staraniem głównie dra Izydora Hołubowicza, który był duszą tego przedsięwzięcia, kurs ten pod kierownictwem p. Iwana Petruszewicza, urzędnika lwowskiej torhowli, prowadzony był nadzwyczaj umiejętnie i przyniósł frekwentantom nieocenione korzyści. Nauczycielami byli profesorzy gimnazyalni i ludowi, a mianowicie pp.: Sydoniak, Janowicz, J. Kowalski i Mikołajewicz. Załączona obok illustracya przedstawia frekwentantów włościan i włościanki, którzy ukończyli kurs, oraz grono profesorskie.

Pożądanem by było, aby i w zachodniej Galicyi urządzono w kilku miejscach takie kursa, tembardziej, że potrzeba do tego jeno dobrej woli, energii i chęci do pracy dla dobra własnego społeczeństwa, a tego wśród nas chyba brakować nie powinno.

Rabin na fotografii.

Każdego, komu wiadomo, że w myśl przepisów rytualnych, rabini nie fotografują się nigdy, zadziwi zapewne widok rabina na załączonej tu illustracyi, a w ogóle fakt, że rabin p. Schmelkes fotografował się, może uchodzić za dowód wielkiego już postępu w świecie starozakonnych galicyjskich Rycina załączona na str. 7, przedstawia grupę pełnego komitetu budowy nowej synagogi w Przemyślu z rabinem p. Schmelkesem pośrodku zdjętą z okazyi wielkiej uroczystości żydowskiej w tem mie-



Fot. dla „Nowości Illustrowanych“ Pechter w Tarnopolu.

Kurs kramarski w Tarnopolu: Grupa uczestników kursu kramarskiego w Tarnopolu z gronem nauczycielskiem.

ście. Mianowicie 29 maja odbyło się tam solenne położenie kamienia węgielnego pod budowę wielkiej świątyni żydowskiej, która stanie na placu pod l. 15 przy ul. Dobromilskiej, ze składek i datków dobrowolnych tamtejszego obywatelstwa izraelickiego. Uroczyste przemówienie okolicznościowe do licznych słuchaczów wygłosił prezes komitetu synagogalnego p. M. Scheinbach. Następnie przemówił rabin Schmelkes. Uczestnicy uroczystości zebrali wreszcie między sobą przeszło dziesięć tysięcy koron na fundusz budowy nowej synagogi przemyskiej.

Orkiestra mandolinowa.

Przed dwoma może laty weszła w Krakowie w modę, że tak powiemy, mandolina. Średniowieczny ten włoski instrument, jego rzewne i pełne tęskliwej melodyi dźwięki, przypominające czasy bardów i minnesängerów, musiały przypaść do gustu zwłaszcza młodzieży, w której duszach grały jeszcze zapalne uczucia, szlachetność i czystość myśli. Młodzież szkół średnich, ta lepsza młodzież, która zamiast zbijać bąki po bruku lub paradować bezcelowo po plantacyach, wolała czas wolny od nauki przepędzać przy pięknej muzyce, wkrótce zaczęła się łączyć ze sobą, zawiązywała kółka mandolinistów, z których jedne grały bardzo dobrze, drugie, jak to zwykle bywa, po dyletancku. Najlepsi mandoliniści zawiązali się w roku ubiegłym za staraniem pp. B. Strycharskiego, A. Ekiera i W. Wejersa w pierwszą orkiestrę mandolinową, którą dzisiaj znają już wszyscy krakowianie i otaczają ją serdecznem uznaniem.

Ta orkiestra, którą Czytelnicy widzą na załączonej obok rycinie, nazywa się właściwie orkiestrą tambur-mandolinową. Instrumenty w niej używane, są to tak zwane instrumenty dalmatyńskie o dwu metalowych strunach. I tak w skład ich wchodzą: Brać I o dwu strunach D. contrabrać i II brać o strunach G. i D. Bizarnica (najmniejszy instrument) o dwu strunach D. berda (bas) o dwu strunach G. i D. Bugaria o strunach H. D. i G. służy, podobnie jak gitara, do akompaniamentu. Oprócz tych instrumentów są jeszcze mandoliny włoskie, tamburino i t. p.

We wrześniu ubiegłego roku wyżej wymienieni założyciele pierwszej orkiestry mandolinistów powołali na swego kierownika i dyrygenta p. G. Senowskiego, artystę dram. teatru miejskiego. Pierwsza próba odbyła się dnia 3 października 1905 roku, a dzisiejszy stan orkiestry, jej zgranie się ze sobą, jest najlepszym dowodem, że p. Senowski z całą energią oddał się pracy nad wykształceniem muzycznem młodych amatorów. Obecnie skład orkiestry przedstawia się następująco: Pierwsze mandoliny grają pp. A. Ekier, B. Strycharski, P. Szczurek i J. Przebinda; drugie mandoliny pp. Bronisław i J. Morawscy, trzecią gra p. J. Sitko. II brać i contrabrać grają pp. Tadeusz i Zygmunt Wieler, Bizarnice i brać I. p. St. Szpyrłak, bugarię K. Wieler, gitarę I M. Dębicki, gitarę II. M. Senowski, berdę W. Wejers.

Pierwszy popis orkiestry mandolinistów odbył się w sali Resursy urzędniczej dnia 5 listopada 1905 r. i wypadł znakomicie. Od tego czasu orkiestra ta pod umiejętnem kierownictwem p. Senowskiego rozwijała się z dniem każdym, zyskując uznanie prasy oraz publiczności i była proszoną do współudziału w rozmaitych koncertach w Krakowie, jakoteż na prowincyi. Prawdziwie świetny jej koncert odbył się dnia 14 maja br. Grano na nim utwory nadzwyczaj trudne, jak np. Potpourri z opery „Pajace“, „Traviata“, marsz weselny ze „Snu nocy letniej“ poloneza A-dur Chopina i td.

Członkowie orkiestry mandolinistów należą do Towarzystwa miłośników cytry, w którem stanowią tylko odrębne kółeczko, podlegają jednakże jego statutom, są członkami wydziału i td.

Zasługa, że orkiestra ta w ciągu kilku miesięcy tak się wydoskonaliła, spada wyłącznie prawie na jej dyrygenta i kierownika, p. Senowskiego, który, sam znakomity cytrzysta, przytem czło-



Fot. dla „Nowości Illustr.“ Michał Todt w Przemyślu.

Rabin na fotografii: Grupa pełnego komitetu budowy wielkiej synagogi żydowskiej w Przemyślu w czasie uroczystości położenia kamienia węgielnego pod nową świątynię; pośrodku rabin Schmelkes, który pozwolił się zdjąć, mimo, że przepisy rytualne zabraniają fotografować się rabinom.



Umyślne zdjęcie dla „Nowości Illustrowanych“; aparatem redakcyjnym fot. W. Lis w Krakowie.

Krakowska orkiestra mandolinowa: Grupa członków orkiestry mandolinistów, należącej do Towarzystwa miłośników cytry w Krakowie; pośrodku kierownik i nauczyciel orkiestry, znany artysta G. Senowski



Pamiątkowe zdjęcie fot. zakładu Bahrynowicza we Lwowie.

Zjazd konwiktorów tarnopolskich we Lwowie.

I. rząd: 1. Zygmunt Pruszyński, 2. Hr. Tadeusz Lubieński, 3. Adam Wierzchleyski, 4. Aleksander Gniewosz, 5. Roman Treter-Doliniański.

II. rząd: 6. Leon kniaź Puzyna, 7. Zdzisław Ładomirski, 8. Władysław Niedźwiecki, 9. Jan hr. Drohojowski, 10. Roman Morstin, 11. Seweryn Czerwiński, 12. Henryk Morstin, 13. Kazimierz Szaszkiewicz, 14. Karol Chodkiewicz, 15. Franciszek Heydel, 16. Stanisław hr. Mohl, 17. Włodzimierz Barański, 18. Stanisław Chołoniewski, 19. Leon Tchórznicki.

III. rząd: 20. Mieczysław Bohdanowicz, 21. Antoni Skibniewski, 22 Józef Jezierski, 23. Adam Stecki, 24. Adam Komorowski-Suffczyński, 25. Bolesław Rozwadowski, 26. Stefan br. Romer, 27. Andrzej Walchnowski, 28. Kazimierz Marmorosz, 29. Kazimierz Lebowski, 30. Bogusław Kieszkowski, 31. Włodzimierz Wasilewski, 32. Antoni Bielawski, 33. O. Czaykowski.

IV. rząd: 34. Piotr Czosnowski, 35. Izydor Rozwadowski, 36. Kazimierz hr. Dunin-Karwicki, 37. Józef Szaszkiewicz, 38. Antoni Theodorowicz, 39. Kazimierz Agopsowicz, 40. Michał Garapich, 41. Karol hr. Drohojowski, 42. Kazimierz Jachimowski, 43. Franciszek Jezierski, 44. Rotmistrz Józef hr. Lasocki, 45. Stanisław Lebowski, 46. Kazimierz Romański.

V. rząd: 47. ks. Stefan Komorowski, 48. Karol Listowski, 49. Witold Traczewski, 50. Józef Cieński, 51. Roman Tchórznicki, 52. Ksawery Korytko, 53. August hr. Dzieduszycki, 54. O. Załęski, 55. O. Tychowski, 56. O. Miszkiewicz, 57. Stanisław br. Hagen, 58. Adam Krajewski, 59. Żdzisław Obertyński.

VI. rząd: 60. Franciszek Jaruntowski, 61. Kazimierz hr. Chłapowski, 62. dr. Gustaw Zaremba, 63. Stanisław hr. Breza.

wiek rzeczywiście muzykalny, nie szczędzi pracy i trudów, aby młodzież, garnącą się do pracy tak przyjemnej, młodzież, umiejącą połączyć „utile cum dulci“ zagrzać, pociągnąć na wyżynę artyzmu i wykształcić. P. Senowski jest też kompozytorem. Na ostatnim koncercie mandolinistów odegrano jego najnowszy utwór, prześliczny, melodyjny walczyk pod tytułem „Olga walc“ i potpourri z pieśni małoruskich pt. „Wspomnienia z Worochty“. Na fotografii, jaką obok zamieszczamy, widać p. Senowskiego w pośrodku pierwszego rzędu.

W lipcu bieżącego roku wyjeżdża orkiestra mandolinistów na *tournee* artystyczne po miejscach kąpielowych i klimatycznych, na co uzyskała zezwolenie z prezydyum namiestnictwa. Pierwszy koncert odbędzie się w połowie lipca w Zakopanem, drugi w Szczawnicy itd. Ze względu na to, że część dochodu przeznacza orkiestra na cele patryotyczne i dobroczynne, spotkają się zapewne mandoliniści nasi wszędzie z serdecznem przyjęciem.

Zjazd konwiktorów tarnopolskich we Lwowie.

W 50 rocznicę wznowienia konwiktu OO. Jezuitów w Tarnopolu zjechali się w ubiegłą sobotę we Lwowie, z różnych stron Polski byli wychowankowie tego zakładu naukowego. Konwikt tarnopolski założyli OO. Jezuici w r. 1821, i istniał on do roku 1848 tj. do rozprószenia tego zakonu. Z konwiktu wyszli między innymi: Wincenty Pol, Maurycy, Edward i Aleksander Dzieduszyccy, Alfred Dembiński, Aleksander Krasicki, Gustaw Aukwicz, Agenor, Stanisław i Mieczysław Gołuchowscy, Mieczysław Grocholski, Stanisław Lanckoroński, Edward Stadnicki, Adam Komorowski, Oskar Rozwadowski, Janusz Szeptycki, Jakób Romaszkan, i wielu, wielu innych zasłużonych mężów.

Dnia 1 września 1856, a więc przed 50 laty, otworzony został napowrót konwikt w Tarnopolu. Było w pierwszym roku uczniów 27, w następnym wzrosła ich liczba do 60, a w dalszych dochodziła rocznie stu, tak że przez przeciąg lat 30 istnienia tego zakładu, odebrało w nim wychowanie mniej więcej 650 uczni. Następnie konwikt przeniesiony został do Chyrowa, gdzie się świetnie rozwija.

Zjazd we Lwowie rozpoczął się zebraniem towarzyskiem w sali hotelu George'a; przybyło na nie około 100 osób, ludzie wszyscy na stanowiskach, między temi wielu znanych z swej działalności i wybitnych. Następnego dnia uczestnicy zjazdu byli wspólnie na mszy św., zwiedzali Lwów, a wieczór odbył się obiad, podczas którego wzniesiono szereg toastów.

W poniedziałek przez cały dzień bawili konwiktorzy w zakładzie wychowawczym OO. Jezuitów w Chyrowie, zwiedzając tę, znakomicie się rozwijającą i kultywującą tradycyę konwiktu tarnopolskiego — uczelnię. Trzeci i ostatni dzień zjazdu spędzili uczestnicy w Podhorcach, zwiedzając nagromadzone tam w zamku pamiątki narodowe.



Emigracya ze sceny krakowskiej: P. Sulima, artystka teatru miejskiego w Krakowie, która przenosi się na scenę warszawską, zaangażowana do „Rozmaitości“.

W zjeździe wzięło udział prócz licznego grona byłych konwiktorów, kilku OO. Jezuitów, którzy również kształcili się w konwikcie tarnopolskim.

* * *

W numerze dzisiejszym zamieszczamy zdjęcie fotograficzne grupy uczestników zjazdu, którego inicyatorem był hrabia August Dzieduszycki.

Emigracya ze sceny krakowskiej.

Jak się dowiadujemy, do szeregu artystów, teatr nasz opuszczających, przybywa wielce przez publiczność krakowską ceniona, p. Sulima.

W ciągu swej pięcioletniej gościny w podwawelskim grodzie zdołała wysunąć się na pierwszorzędne stanowisko, dając nam doskonałe kreacye Racheli w „Weselu“, Goplany w „Balladynie“, Maud w „Półdziewicach“, Tytanii w „Śnie nocy letniej“, Ady w „Lekkomyślnej siostrze“ i t. p.

Od dnia 15 maja r. b. artystka ta zaliczona została do personalu rządowych teatrów warszawskich, gdzie niewątpliwie talentem swym i pracą zdoła pozyskać sympatyę bywalców teatralnych. Szczerze jej tego życzymy.

Z arcybiskupa — zakonnikiem.

W ubiegłym tygodniu żegnał kler łaciński ze Lwowa i z całego kraju ks arcybiskupa Józefa Webera, który porzuca stanowisko sufragana archidyecezyi lwowskiej a wstępuje do zakonu OO. Zmartwychwstańców i odjeżdża do Ameryki z ważną misyą, powierzoną mu przez Ojca św.

Ks. arcybiskup Weber większą część swego życia spędził we Lwowie. Tu kształcił się a uzupełnił potem swe nauki w Rzymie, tu był wikaryuszem w kościele archikatedralnym, tu również pełnił w seminaryum duchownem naprzód obowiązki ojca duchownego a potem wicerektora. Następnie mianowany został kanclerzem konsystorza lwowskiego, dalej kanonikiem kapituły a wnet potem biskupem-sufraganem. Na wszystkich tych stanowiskach umysł jego jaśniał niepospolitym blaskiem, a łagodność charakteru, szlachetność zasad jednały mu serca wszystkich. Ogólnie też cieszono się, gdy przed kilku laty Ojciec św. w uznaniu niepoślednich zasług ks. Webera, mianował go arcybiskupem in partibus infidelium, w odległej, na Wschodzie położonej dyecezyi Darbińskiej. Równocześnie spełniał ks. arcybiskup dalej swe obowiązki jako sufragan archidyecezyi we Lwowie. Marzeniem jego było zawsze życie zakonne i to marzenie realizuje obecnie ks. arcybiskup Weber, wstępując — jak wyżej wspomniano — do zakonu OO. Zmartwychwstańców.

Wiadomość o odjeździe ks. Webera wywołała w licznych zastępach jego szczerych przyjaciół i wśród ogółu duchowieństwa niekłamany żal, któremu dano też wyraz w czasie uroczystego pożegnania.

Zdjęcie fotograficzne grupy żegnającego ks. Webera kleru zamieszczamy obok. W pośrodku ks. arcybiskup Weber.



Fot. dla „Nowości Illustr.“ Bahrynowicz we Lwowie.

Z arcybiskupa — zakonnikiem: Pożegnanie odjeżdżającego ze Lwowa do Ameryki ks. arcybiskupa Webera; grupa alumnów lwowskich z ks. Weberem pośrodku.

Zbrodnia za zbrodnią

Sensacyjna powieść kryminalna.

12 Przerobił J. R. Ciąg dalszy.

Właśnie weszła stara i na zapytanie adwokata, ile jej się należy, odparła, że żąda sto dolarów, które jej Hansen natychmiast wypłacił.

Po wyjściu starej zauważył adwokat straszliwą bladość, jaka pokryła twarz chorego. Z obawy więc, ażeby chory nie zmarł przed napisaniem testamentu, kazał mi szybko przyprowadzić lekarza. Właśnie chciałem wyjść, kiedy temu nagle zaoponował sam chory, mówiąc do adwokata w sposób, który mnie musiał zdziwić:

— Powiedz pan, panie mecenasie, przyjacielowi, żeby tu został. On mi tak przypomina mego nieboszczyka brata, a z tem wspomnieniem wracają mi przed oczy pogodne dni mojej młodości. Niechże on odemnie nie odchodzi! Doktór mieszka tu naprzeciwko, ale ja go nie chcę, bo to człowiek bez serca. Jeżeli pan chce sam iść — zwrócił się do mnie — to niech pan idzie do innego lekarza, ale niech pan wraca jak najprędzej. Nie chciałbym umrzeć, zanim pan powróci!

Mówił to tak szczerze, tak serdecznie, że łzy nam w oczach stanęły.

Kiedy powróciłem z lekarzem, zauważyłem na chorym widoczną zmianę. Lekarz podszedł do łóżka, ja zaś zwróciłem się do przyjaciela z pytaniem, co tę zmianę mogło spowodować. Hansen odpowiedział mi w te słowa:

— Przez cały czas chory mówił o tobie i dowiadywał się o twoich stosunkach majątkowych. Kiedy mu powiedziałem, że masz duży majątek, widocznem było, że go to trochę zabolało. Prawdopodobnie nosi on się z zamiarem zapisania ci jakiego legatu.

— Co gadasz!? — zawołałem, jednak czułem, że owładnęło mną dziwne jakieś uczucie. Kląłem w duchu, że mnie Hansen zabrał ze sobą!

Lekarz skończył badanie i wróciwszy do nas oświadczył, że chory ma jeszcze dwie godziny życia przed sobą.

Dwie godziny — po tylu, tylu latach nędzy! Więc na używanie olbrzymiej fortuny, jakiej się wreszcie doczekał, pozostało mu dwie godziny czasu, to znaczy tyle, ile potrzebował do rozporządzenia tym majątkiem! To przecież była ironia losu, gorzka ironia przeznaczenia!

Opanowała mnie dziwna jakaś obawa. Myślałem o tem, jak łatwo chory w obliczu śmierci może swój majątek przekazać temu, kogo ma przy sobie w ostatniej godzinie. I chociaż nie dawałem wiary przypuszczeniu adwokata, to jednak miałem ogromną ochotę ulotnić się z tego domu, aby uniknąć tej ciekawej możliwości. Czułem jednak, że byłoby to okrutnem z mojej strony, bo chory zdawał się czerpać otuchę z mojej twarzy i nie spuszczał ze mnie oczu. Wiedziałem, że wzrok ten, wzrok konającego suchotnika, czuć będę na sobie do grobowej deski, a jednak nie mogłem wyjść stamtąd. Musiałem pozostać do końca, bez względu na to, co z tego może wyniknąć.

Idąc do lekarza, kupiłem po drodze bukiet białych róż i położyłem go choremu na łóżku. Łzy mu stanęły w oczach; delikatnie gładził kwiaty rękoma, mówiąc:

— Matka moja miała taki śliczny ogród — pamiętam, nieraz biliśmy się z bratem takiemi białemi różami — ja i brat. — Nie mogłeś mi pan zrobić większej przyjemności, jak przynosząc mi te róże!

Lżej mi się zrobiło na sercu, kiedym zobaczył, że go tak tem białem kwieciem ucieszyłem, ale z drugiej strony wyglądało to tak, jakbym się chciał choremu podchlebić.

— Żałuję bardzo, że muszę pana wzruszyć — zaczął adwokat — ale czuję się zobowiązanym skłonić pana do spisania ostatniej pańskiej woli i rozporządzenia majątkiem. Gdyby pan tego nie zrobił, to powstałby później o ten spadek spór stokroć większy od tego, jaki pan przeszedłeś, a tego pan sobie chyba nie życzysz. Czy nie zechciałby mi pan powiedzieć, co pan zamierza uczynić, kogo ustanowić swoim spadkobiercą?

— Ja się już namyśliłem — odparł zwolna chory. — Majątku dzielić nie będę, bo wszystko zapisuję jednemu.

— Chociaż spadek jest tak olbrzymi?

— Im większy, tem lepiej. Jeden odziedziczy wszystko, oh, jakże mnie to uszczęśliwia! Po tylu dniach nędzy i rozpaczy!

Adwokat usiadł przy stoliku, wyjął papier, atrament i pióro i zabrał się do sporządzenia formularza testamentu.

Kiedy nadeszła chwila, że chory miał wymienić nazwisko swego spadkobiercy, cofnąłem się jak mogłem najdalej w kąt pokoju, jednak usłyszałem wyraźnie, jak rzekł dobitnie:

— Paweł Winkelman.

— Więc pan chcesz — bełkotał adwokat — temu panu...

— Zostawić mój cały ruchomy i nieruchomy majątek, tak jest, temu panu, który, jak sam pan mówiłeś, nazywa się Paweł Winkelman — rzekł chory.

— Ależ! — zawołałem w łatwo zrozumiałem wzburzeniu — przecież ja jestem dla pana zupełnie obcym! Proszę, niech się pan zastanowi nad tem, co pan robi; ja majątku nie potrzebuję, a nadto...

— Nie traćmy drogiego czasu — ozwał się nagle chory. — Nie znałem pana wprawdzie do dziś dnia, ale pan jesteś podobny do mego brata, który był najzacniejszym człowiekiem na świecie, jakim i pan wobec tego być musisz. Wymagam od mego spadkobiercy jedynie uczciwości, wierności i honoru, a wtedy będzie on już umiał użyć mojego majątku. Wpisz pan imię i nazwisko! — zwrócił się do adwokata. — A proszę pana, postaraj się pan o to, aby ten testament stał się prawomocnym, bo inaczej nawet w grobie nie będę miał spokoju!

Perswazye nasze spełzły na niczem, chory miał zupełną świadomość swego czynu, co stwierdził lekarz. Nie zgodzić się na jego żądanie, znaczyłoby ukraść mu jeszcze tych parę chwil, jakie mu do życia pozostały. Mój przyjaciel był ze wzruszenia tak blady, jak ten papier, na którym pisał.

Kiedy testament był gotów, adwokat poprosił lekarza, aby zawołał swego służącego, który był jeszcze potrzebny na świadka, poczem w najwyższem naprężeniu zobaczyliśmy, jak konający chwycił pióro w rękę i napisał kilka słów, które mnie odrazu zrobiły z zamożnego człowieka właścicielem milionowej fortuny. Chory odetchnął spokojnie dopiero wtedy, kiedy podpis był już gotowy, podczas gdy ja nie mogłem sobie zdać sprawy z tego, co się ze mną działo.

— Teraz chciałem panu powiedzieć, jak pan byś najlepiej mógł użyć tych pieniędzy. Może panowie — zwrócił się do lekarza i do adwokata — może będziecie łaskawi zostawić nas na chwilę samych?

Adwokat, wychodząc z pokoju, szepnął mi:

— Chodzi tu o trzy miliony; uważaj, Pawle, co przyrzekniesz!

Osłupiałem ze zdumienia, sama myśl o takiem kolosalnem bogactwie przygniatała mnie; mróz mi przeszedł po kościach. Nie mogłem nawet spojrzeć w twarz człowiekowi, który tak bez troski darował mi trzy miliony — bo przecież przed dwoma godzinami nie znaliśmy się zupełnie, jeden o drugim nie wiedział.

Chory leżał tak cicho, że zdawało się, iż duch jego uleciał już z tego świata, tylko ręce jego przesuwały się delikatnie po kwiatach, które mu przyniosłem. Po chwili spojrzał na mnie dziwnie badawczym wzrokiem.

— Nie rozczaruje to pana — rzekł — jeśli panu powiem, że pieniądze, jakie panu zapisałem, nie będą na zawsze własnością pana?

Zbladłem. Czyżby majątek ten, który tak nagle spadł na mnie, miał się również nagle rozprysnąć? Opanowałem się jednak i odparłem stanowczo:

— Majątek należy do pana, ja nie mam do niego najmniejszych pretensyj. Życzenie pańskie co do zarządzania nim, wypełnię wedle sił moich, możesz pan być przekonany, chociażby mnie to nawet nie wiedzieć ile trudu i ofiar kosztowało.

— Nawet wtedy! Jakiż pan jesteś dobry, jaki zacny! W godzinie skonu zesłał mi Bóg człowieka, jakiego właśnie potrzebowałem. Przepraszam pana, że chciałem panu zrobić nadzieję na ten spadek, ale muszę panu powiedzieć, że pieniądze będziesz pan miał tylko w przechowaniu. Pojmie pan przyczynę mego postępowania, gdy panu powiem, że mi bardzo na tem zależy, aby pieniądze te zostały natychmiast wypłacone, bo moi przeciwnicy, to intryganci pierwszej wody. A spadek ten niech pan będzie łaskaw oddać Małgorzacie, córce mojego brata, która teraz żyje w Niemczech, biedna wdowa. Byłoby mi bardzo przyjemnie, gdyby pan ją odszukał, ba, sprawiłby mi pan wielką radość, gdybyś ją pan pokochał, gdybym mógł widzieć was z nieba jako szczęśliwe małżeństwo, pana i Małgorzatę.

. . . .

Paweł Winkelman urwał na chwilę i westchnął ciężko.

Gabinet doktora Stürmera przytykał do salonu, zamienionego na pokój żałoby. Drzwi, łączące oba pokoje, stały otworem — nieszczęśliwa Małgorzata słyszała całą tę rozmowę!

— Boże, mój Boże! — modliła się — zlituj się nademną! Odejmij mi tę sztywność, która mnie umarłą, martwą czyni! Teraz, kiedy nadszedł kres mojej nędzy, teraz nie dopuść, aby mnie żywcem pogrzebano!

. . . .

Winkelman podniósł smutny wzrok na Stürmera, a widząc, że lekarz cały jest przejęty opowiadaniem, ciągnął dalej:

— Umierający wyjął z pod poduszki fotografię i rzekł:

— Oto ona; przysłali mi ją przed dwoma laty, miała wtedy lat ośmnaście.

Wlepiłem wzrok jak oszołomiony w tę fotografię. Toż to był ideał moich marzeń i snów! Anielskie to oblicze widziałem ciągle przed oczyma duszy, chociaż nigdy w życiu nie widziałem kobiety, o takiej właśnie twarzy.

Zauważył moje zmieszanie i rzekł:

— Małgorzata jest piękna; nie widziałem jej nigdy w życiu, ale nie potrafię panu opisać, jak ja ją kocham! Co do joty podobna do żony mego brata, którą, gdy była panną, kochałem tak, jak tylko mężczyzna może kochać kobietę. Widząc, że ona kocha brata, nie mnie, wyjechałem do Ameryki. Jeżeli córka jej odziedziczyła po niej taką samą czystą, piękną duszę, to Małgorzata godna jest tego spadku, który tak nagle i niespodziewanie otrzyma.

Widzę, że jednak nie zabrakło mi sił do opisania uroku i wdzięku jedynej kobiety, którą kochałem, i jeżeli pomyślę, że ja jej córkę przez te pieniądze uszczęśliwię, tak mi dobrze na sercu i słodko i błogo. Gdybym tak mógł zejść z tego świata z tą pewnością, że Małgorzata i pan będziecie kiedyś małżeństwem, umarłbym z uśmiechem na ustach...

Podałem mu obie ręce.

— Pan masz pieniądze — zaczął chory raz jeszcze. — Ufam panu w zupełności i wierzę, że pan słowa dotrzymasz!

Urwał, a po chwili szepnął:

— Chciałbym się jeszcze widzieć z adwokatem.

Zawołałem go, właśnie jednak gdy Hansen wszedł pokoju, chory krzyknął: „Małgorzato, moja Małgorzato“! — poczem opadł na poduszki i skonał.

Zarządziłem wszystko, aby nieszczęśliwego przyzwoicie pochować, jednak długi czas chodziłem jak oszołomiony, nie wiedząc, co mam z sobą zrobić. Po pogrzebie czekałem jeszcze kilka tygodni, czy nie zgłoszą się może po spadek inni jacy krewni, ale nic takiego nie zaszło. Otrzymałem tedy w gotówce tę kolosalną sumę i postanowiłem pojechać do Europy. Po drodze dowiadywałem się, gdzie leży Welzendorf i tam się udałem.

Ale o pięknej córce pastora nikt mi nic nie umiał powiedzieć. Dopiero jakaś żebraczka, z którą się po drodze zgadałem, powiedziała mi o niej kilka szczegółów, które mi krew ścięły w żyłach.

Małgorzata — opowiadała stara — wpędziła ojca do grobu. Gdyby była nie zadawała się i nie wyszła za inżyniera Wildinga, ot. takiego sobie hulakę i nicpotem, stary pastor byłby żył do dziś dnia. Że Wilding z nią nie żył długo, na to bym mogła śmiało przysiądz. Kto wie, w jakiej nędzy i gdzie Małgorzata się dziś znajduje!

Szukałem jej po wszystkich większych miastach, aż nareszcie spotkałem ciebie, Adolfie, i tyś mi opowiedział historyę lunatyczki. Odnalazłem ją tedy, ją, spadkobierczynię Schmidta, ale już nieżywą, umarłą w nędzy. Gdyby stary, zacny Schmidt był przeczuwał, że i jego bratanicy pieniądze te na nic się nie przydadzą, nie byłby umarł tak spokojnie. I mnie zgon jej odebrał wszelkie nadzieje, bo kochałem zmarłą całą siłą mojej duszy, chociaż jej nigdy nie widziałem. Tyle lat nosiłem jej obraz w sercu, nie przeczuwając, że taka kobieta wogóle istnieje na świecie — o Adolfie, kiedy pomyślę, że tę świętą posiadł łotr jakiś, który się z nią źle obchodził — krew się we mnie burzy i zbiera mnie ochota odszukania go i nabicia chociażby!

Leżąca w letargu słyszała zbliżające się kroki.

— Jeśli już biedaczka nie może używać swego majątku — słyszała miękki, dźwięczny głos — to przynajmniej włożę jej do trumny ten brylantowy medalion, który otrzymałem razem ze spadkiem.

Teraz czuła, jak jakaś ciepła ręka męska gładziła pieściwie jej zimne policzki.

— Boże miłosierny! — modliła się — spraw, żebym się przynajmniej mogła poruszyć!

Ale napróżno. Siły jej nie wróciły.

Doktór Stürmer, pełen niewypowiedzianego współczucia, patrzył to na leżącą w trumnie, to na przyjaciela, złamanego zupełnie na duchu. I nic dziwnego. Toż kobietę, którą Winkelman kochał całą duszą, której przez tyle czasu napróżno szukał, znalazł nieżywą, w trumnie. To mogło złamać najsilniejszy umysł.

Pogrążeni w niemem milczeniu obydwaj mężczyźni nie zauważyli, że pokojówka wprowadziła do gabinetu doktora jakiegoś człowieka, który z zawiązaną ręką czekał na lekarza. Widząc, że w pokoju niema nikogo, nieznajomy podszedł ku drzwiom i aż się wzdrygnął cały, zobaczywszy na szyi umarłej wspaniały, kolosalnej wartości medalion brylantowy. Ponieważ jednak ręka go strasznie bolała, poruszył się tak, że zwrócił uwagę Stürmera na siebie. Doktór przeprosił przyjaciela i wrócił do swego gabinetu.

— Cóż panu brakuje? — spytał, mierząc wzrokiem przybysza.

— Jestem Jan Barrison, klown cyrkowy. Ukąsiła mnie dzisiaj żmija, należąca do miss Jumbo — rzekł, zdzierając opatrunek.

Lekarz zbadał ranę.

— Dobrześ pan zrobił — rzekł — żeś pan, jak widzę, wyssał truciznę sam. Ranka nie jest głęboka. Ale lepiej będzie, jeżeli panu miejsce to wypalę i to, zaznaczam, musi się stać odrazu!

Barrison aż zęby zaciskał, kiedy mu Stürmer wypalał ranę, ale nie mógł się wstrzymać, żeby nie krzyczeć z bólu. Kiedy wyszedł z domu doktora, oblicze jego było blade, jak płótno, czoło miał pomarszczone całą siecią bruzd. Zdawało się, że w mózgu jego pracuje z wytężeniem dziesięciu najmniej demonów.

— Medalion, jaki miała na szyi umarła, ma wprost bajeczną wartość. Żebym tak ja go mógł dostać w swe ręce! — mówił do siebie. — Muszę się dowiedzieć, na którym cmentarzu ją pochowają, a może — nie dokończył zdania, ale myśl, jaką miał wypowiedzieć, musiała być poprostu straszliwa, co się przebijało nazbyt wyraźnie w dzikim błysku jego oczu.

— Już dobrze! — mówił dalej, idąc powoli chodnikiem. — Przynajmniej udało mi się ukraść Jumbie najbardziej jadowitą żmiję. Nareszcie będę mógł uwolnić siostrę od jej rywalki. Gdyby mnie ta blondyneczka była kochała, to możebym teraz na siostrę tego węża ukradł — bo ostatecznie każdy jest najbliższym bliźnim siebie samego — ale ona mną wzgardziła, więc się na niej zemszczę, a zemszczę się w sposób taki, jakiego świat jeszcze nie widział!

ROZDZIAŁ XXI.

Złodziej umarłych.

Na zachodnim krańcu cmentarza znajduje się małe, ale z wielkim smakiem artystycznym wykonane mauzoleum. Jest to wspólny grobowiec znakomitej rodziny uczonych, Stürmerów. Tuż obok niego rozpostarł gałęzie olbrzymi buk, pod którego cieniem smutny się rośnemi łzami długie warkocze płaczących wierzb. Cichy, miły zakątek, niby żywa personifikacya Pokoju.

W tym grobowcu złożono zwłoki nieszczęśliwej Małgorzaty Wilding. Jak straszne, jakie okropne musiały być dla pozornie zmarłej chwile, kiedy usłyszała kroki tragarzy, kiedy nad nią zamknięto trumny wieko, tego nie można wypowiedzieć słowami.

Teraz musiała nieszczęsna rzeczywiście już nie żyć, prawdopodobnie udusiła się, bo minął już dzień, jak leżała w grobie.

Nadeszła noc. Obok grobowca pojawił się jakiś człowiek. Czegóż on tam szukał w tym zaciszu umarłych?

Był to klown Barrison. Czekał on do późnej nocy, zbierając odwagę do strasznego czynu, jakiego miał dokonać. Chodziło mu o zdobycie brylantowego medalionu, który widział na szyi zmarłej.

Fakt, że grobowiec Stürmerów znajdował się w ustroniu cmentarnem, był dla niego bardzo pomyślnym. Zamki i rygle nie przedstawiały dlań zbytniej przeszkody, trupi zapach nie budził w nim wstrętu.

Miał ze sobą światło, stary klucz, dłuto i wytrychy. Uzbrojony w to wszystko podszedł do grobowca. Dzisiaj w nocy musiał dzieła dokonać, bo jutro czekała nań na zamku Schleinitz jeszcze większa, jeszcze straszniejsza zbrodnia.

Po długiej pracy za pomocą wytrychów i dłuta udało mu się zrobić sobie wejście do grobowca. Ale tu czekała go jeszcze większa robota. Krypta, w której spoczywali umarli, przykryta była olbrzymiemi żelaznemi drzwiami. Udało mu się jednak i teraz podnieść przykrywę. Na zegarach kościelnych biła właśnie północ, kiedy kryptę otworzył i po drabinie zszedł na dół, gdzie rzędem stało obok siebie sześć trumien.

Z największym spokojem zapalił latarnię, zawiesił ją na sztabie, podtrzymującej przykrywę i zaczął obserwować trumny, z zewnątrz wszystkie jedna do drugiej podobne. Wszystkie prawie pokryte były powiędłym kwieciem.

Powiedział sobie, że trumną, której szukał, musi być ostatnia. Jednakże mimo energicznych wysiłków nie mógł otworzyć wieka, zamkniętego na dwa zamki. Po chwili jednak udało mu się oderwać listwę. Chwycił więc wieko i zaczął całą siłą ciągnąć do góry; powstał w ten sposób otwór, przez który musiał już zobaczyć trupa.

Wtem — cóż się stało?

Z krzykiem, jakiego sobie nawet wyobrazić nie można, spuścił wieko i aż się zatoczył ku przeciwległej ścianie, drżąc ze strachu, jak osika na wietrze.

Spodziewał się, że znajdzie w trumnie zwłoki



...Zobaczył, jak wieko drugiej trumny powoli się podniosło i spadło na bok. — Barrison krzyknął, a z trumny powstała biała postać kobieca w białej, śmiertelnej koszuli...

młodej kobiety, która miała na szyi medalion, a tymczasem oczom jego ukazał się w całej swej ponurej grozie straszny obraz śmiertelności i znikomości życia. Pomylił się co do trumny i otworzył tę, w której leżały zwłoki zmarłej przed rokiem babki doktora Stürmera. Co za okropny obraz miał przed sobą, bo wieko nie opadło już na dół, a wewnątrz trumny błyszczały sine kości trupie. Biała, gnijąca masa, na której odbijały ostro ciemne plamy, prawdopodobnie włosy, rozlewała się naokół grubych kości, stanowiących widocznie twarz zmarłej, błyszczącą fosforycznym blaskiem. A po bokach widać było czarną jedwabną suknię. Co za przeraźliwy kontrast z gnijącemi wewnątrz zwłokami!

Wstrętny zapach gnijącego ciała wypełnił całe wnętrze grobowca. Jednak Barrison nie stracił odwagi, ale nawet prędko opanował się i zaczął mówić sam do siebie:

— Przecież ona umarła, a umarli nie mogą już szkodzić! Już chciał podejść do trumny, aby zakryć ten straszliwy obraz, jednak musiał się zatrzymać przerażony. Twarz mu zbladła, jak ściana, w piersiach dech mu zatkało, a oczy zdały się rozsadzać czaszkę. Zobaczył, jak wieko drugiej trumny powoli się podniosło i spadło na bok. — Barrison krzyknął, jakby już ostatnia jego godzina nadeszła — a z trumny powstała biała postać kobieca w białej, śmiertelnej koszuli...

ROZDZIAŁ XXII.

Zagadkowa śmierć.

Kochanka hrabiego Parduy wytężała wszelkie siły, aby Ernę przekonać, że jest szwagrową Roberta. Erna zaś, chociaż towarzyszce bardzo wierzyła, postanowiła jednak pozostać na zamku, aby wszystko jaknajlepiej zbadać. Dobre jej serce nie było zdolne do potępienia tam, gdzie brakowało pewnych dowodów.

Ilona była dla niej zawsze uprzedzająco grzeczną i uprzejmą, obchodziła się z nią tak delikatnie, że biedna kobieta niejednokrotnie robiła już sobie wyrzuty, iż podejrzywała ją o tak straszne rzeczy. Erna kazała sobie urządzić mały pokoik, w którym sama mieszkała. Z mężem obchodziła się zimno, chociaż Robert, jak się zdawało, robił wszystko, aby tylko módz się przy niej zrobić przyjemnym.

Na drugi dzień po swoim przybyciu do zamku, spotkała Erna w parku młodą dziewczynę w czarnych, żałobnych szatach. Podeszła ku niej i uścisnęła ją serdecznie.

— Kasiu, moja Kasiu! — zawołała.

Dziewczyna z płaczem zaczęła jej ręce okrywać pocałunkami.

— Ach, pani hrabino! — wybuchła — przychodzę do pani zapytać się, czy mnie pani przypadkiem nie potrzebuje! Moja matka umarła.

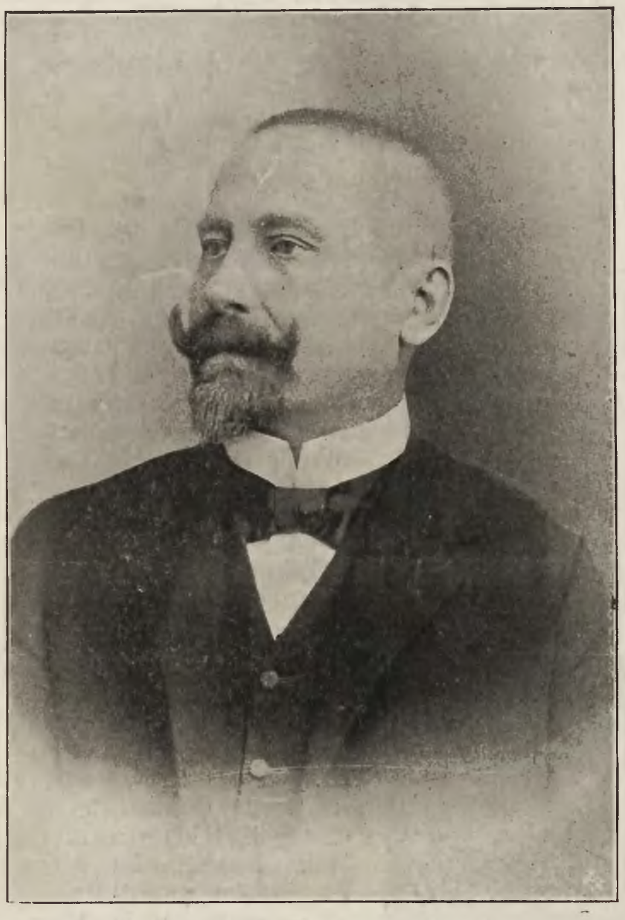
Młoda hrabina przyciągła ją ku sobie.

— Kasiu! — rzekła, a oczy jej napełniły się łzami — jak mi to przykro, wierz mi, ja to umiem odczuć. Nie potrzebuję ci chyba mówić, że chociaż miałyśmy dwie matki, to jednak jedna nas obie wykarmiła; tyś przecie moja mleczna siostra, więc kocham cię, kocham tak, jak własną mą siostrę. Dlatego też, Kasiu, od dzisiaj zostaniesz u mnie. Ale nie nazywaj mnie hrabiną, mów do mnie tak, jakeś mówiła, kiedyśmy obie były dziećmi, mów mi poprostu „Erno“. A wiesz ty, pamiętasz może — mówiła dalej, aby odpędzić od siebie wspomnienie o zmarłej matce — jakie to szczęśliwe były czasy, kiedyśmy obie mieszkały przy baszcie, w tym małym pokoiku przy baszcie? Jakież to były szczęśliwe czasy!

Kazimiera nie umiała znaleźć słów na podziękowanie jej za tyle dobroci. Erna zabrała ją zaraz ze sobą do zamku — było to właśnie w porze obiadowej — i przedstawiła ją hrabiemu i Ilonie, którzy jej zimno skinęli głową. Biednej sierocie zdawało się, że w oczach Ilony spostrzegła jakiś niedobry, zgubny błysk. Ale cóż ją to mogło obchodzić? Przecież panią zamku była nie Ilona, ale Erna.

Hrabina była ze swej strony ogromnie zadowolona, że miała przy sobie kogoś, przed kim mogła się szczerze wynurzać, odkryć swoje bóle i smutki, na piersiach się wypłakać. Swej mlecznej siostrze mogła wszystko powiedzieć, przed nią mogła się ze wszystkiego wyspowiadać.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Na jak długo: Wiceprezydent galicyjskiej kraj. dyrekcyi skarbu, dr. Witold Mora Korytowski, który został ministrem skarbu w Austryi.

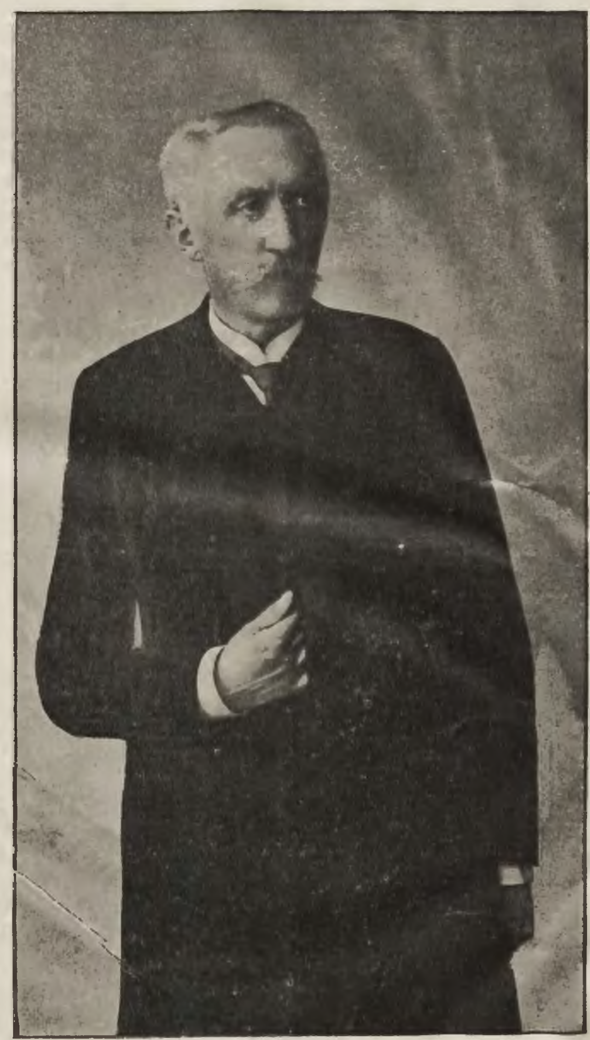
Uczenice nowego maestra.

Głos ludzki, ów najcudowniejszy instrument, zanim może być użytym w sposób odpowiadający wymaganiom artystycznym, musi przejść przez ręce dobrego nauczyciela, który nadaje mu jednolitość dźwięku, jeden i ten sam sposób wydobywania go, czyli t. zw. emisyę, a nadto wiele innych rzeczy składających się na ogólny szlif, do uzyskania którego koniecznymi są muzykalność ogólna i umuzykalnienie. Głos, to materyał, który tylko ręka mistrza może przeistoczyć w dzieło sztuki. Materyału tego u nas dość, lecz — jak w całej dziś Europie, tak i u nas bardzo trudno o mistrza. Przed czterema miesiącami pozyskało krakowskie konserwatoryum na nauczyciela śpiewu prof. Mieczysława Horbowskiego, jednego z tych maestrów, którzy w długoletniej swej pracy pedagogicznej uzyskali wielkie wyniki i cieszą się liczną rzeszą uczni zajmujących najwybitniejsze posterunki artystyczne. P. Mieczysław Horbowski na popisie, odbytym przed paru dniami, przedstawił wyniki swej czteromiesięcznej pracy naprawdę zdumiewające. Dyrektor konserwatoryum, grono profesorów, oraz znawcy, obecni na popisie, wyrazili znakomitemu maestrowi wyrazy gorącego uznania. Z naszej strony, podając podobiznę wybornego tego pedagoga w otoczeniu jego uczenic życzymy mu powodzenia w dalszej pracy. — *urs.* —

Obchód patryotyczny w Jaworowie.

Miasteczko, wsławione ongiś pobytem króla Jana III, który w Jaworowie puścił się w tany z nadobną kowalówną, święciło dnia 13 maja b. r. bardzo uroczyście rocznicę konstytucyi 3-go maja.

Najpiękniejszej dla narodu naszego uroczystości pamiątkowej przyświecał dzień pogodny, jasny, świeży, wlewając w dusze ten nastrój wesela, którego nic zastąpić nie zdoła. O 4 tej rano, a więc zaledwie świt rozproszył mroki, zbudziła Jaworowian raźna pobudka orkiestry szkoły zabawkarskiej, zapowiadająca miasteczku rozpoczęcie uroczystości narodowej. O godzinie 11 ludność tłumnie udała się na nabożeństwo do kościoła, dokąd też podążyły towarzystwa „Sokół“ i straż ogniowa ochotnicza ze sztandarami przy dźwiękach orkie-



Na jak długo: Prezes Koła Polskiego w Radzie państwa Wojciech hr. Dzieduszycki, który został ministrem-rodakiem dla Galicyi w nowym gabinecie austryackim.



Uczenice nowego maestra: Profesor śpiewu w konserwatoryum muzycznem w Krakowie, Mieczysław Horbowski, w otoczeniu swoich nowych uczenic i uczniów po popisie.

stry szkoły zabawkarskiej. Podczas nabożeństwa śpiewało jaworowskie towarzystwo śpiewackie pod batutą druha Buchelta. Ks. katecheta Jan Porada wyłożył w pięknem kazaniu, treści historycznej, chlubne znaczenie konstytucyi 3 go maja. Nabożeństwo zakończyło się odśpiewaniem hymnu „Boże, coś Polskę“, poczem wszyscy udali się na boisko sokole. Tam zabrał głos burmistrz miasta pan Paar, który w gorących słowach oddał hołd twórcom wiekopomnej konstytucyi. Nowy prezes „Sokoła“, p. Władyczyński przemówił w kilku pięknych, pełnych znaczenia słowach o zadaniu naszego sokolstwa. Po defiladzie przed nowym druhem prezesem i przedstawicielami władz tutejszych udano się do mieszkania druha prezesa, gdzie przy dźwiękach hymnu „Jeszcze Polska nie zginęła“, wręczono mu sztandar „Sokoła“.



Na jak długo: Dotychczasowy kierownik ministerstwa handlu, hr. Leopold Auersperg, który został ministrem rolnictwa w Austryi.

Wieczór odbyło się urządzone przez Tow. „Sokół“ przedstawienie, w którego program wchodziły: żywy obraz, deklamacya, trio na skrzypcach, wiolonczeli i fortepianie, wykonane przez druhów Szmidta, Maryanowskiego i Biłokławka, wreszcie jeden akt z „Kościuszki pod Racławicami“, który wzbudził żywy entuzyazm wśród mieszczańskiej przeważnie publiczności, zapełniającej po brzegi wielką salę gmachu „Sokoła“.

Rycina nasza przedstawia jaworowskich sokołów po jednej, straż ochotniczą po drugiej stronie boiska. Na środku w głębi ustawiona orkiestra uczniów szkoły zabawkarskiej, wśród których znajdują się pp. Paar, burmistrz miasta Jaworowa, Władyczyński, prezes „Sokoła“, druh Grenzbauer, poczmistrz Jaworowski i druh dr mecenas Marynowski.



Na jak długo: Gen. feldzeugm. Franciszek Schönaich, minister obrony kraj. w Austryi, który w tym samym charakterze wstąpił do gabinetu br. Becka.

Na jak długo?

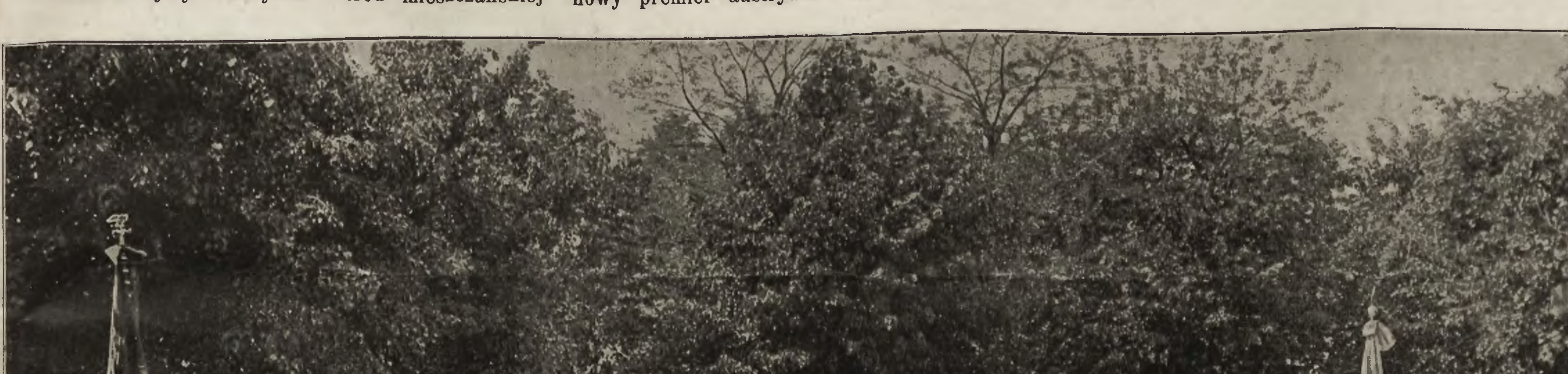
Gabinet ks. Hohenlohego upadł w tak niezwykłych okolicznościach, że nie spodziewano się, by nowy premier austryacki baron Beck, potrafił w tak krótkim czasie, jak mu się to udało — złożyć nowe ministerstwo. Skład tego gabinetu jest następujący: Prezydyum: baran Beck; ministeryum handlu: dr. Forszt, szef sekcyi w min. handlu; ministeryum kolei: dr. Derschatta, przewodniczący niemieckiego stronnictwa ludowego; ministeryum



Na jak długo: Dotychczasowy kierownik min. oświaty, po matce wnuk Schmerlinga, Ryszard br. Bienerth, który został ministrem spraw wewnętrznych w Austryi.

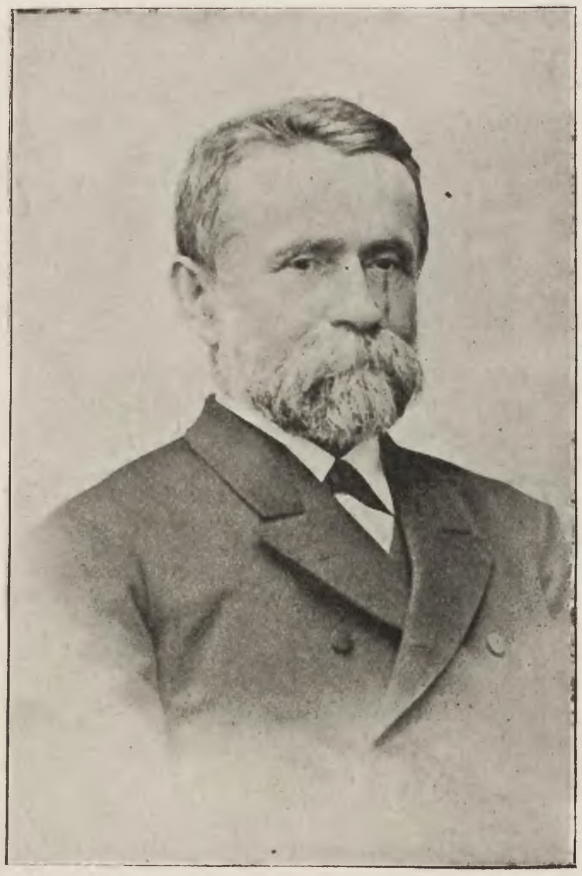
oświaty: dr. Marchett, radca dworu, liberalny poseł niemiecki; ministeryum obrony krajowej: generał Schönaich; ministeryum rolnictwa: hr. Auersperg, dotychczasowy kierownik min. handlu; ministeryum skarbu: dr. Korytowski, wiceprezydent galicyjskiej kraj. dyrekcyi skarbu; ministeryum sprawiedliwości: dr. Klein, dotychczasowy kierownik tego min.; ministeryum spraw wewnętrznych: dr. Bienerth, dot. kier. min. oświaty; ministeryum dla Galicyi: hr. Dzieduszycki, prezes Koła Polskiego; ministeryum dla Czech: dr. Pacak, wiceprezes Klubu młodoczeskiego; minister-rodak Niemiec: dr. Prade, poseł ludowy niemiecki.

A zatem jest to gabinet półparlamentarny, złożony z wytrawnych urzędników i wybitnych członków Rady państwa. To mu nadaje właśnie charakter przejściowy, najlepiej odpowiadający wymaganiom chwili. To też ogół powita go bez uprze-



Obchód patryotyczny w Jaworowie: Uczestnicy uroczystości Trzeciego Maja w Jaworowie: Sokoli, straż ochotnicza i orkiestra uczniów szkoły zabawkarskiej; między nimi burmistrz jaworowski Paar. (Fotografował J. Lander).

dzeń, a parlament powinien mu udzielić poparcia dla spełnienia misyi, jaka mu przypadnie w udziale. Obecność dwóch Polaków w gabinecie daje gwarancye, że interesa polskie będą dostatecznie zabezpieczone. Czesi objęli również dwie teki: urzędniczą i parlamentarną (minister handlu Forszt



Zamach na inżyniera: Alfons Grotowski, inżynier, główny zastępca naczelnego inż. budowy kanalizacyi i wodociągów m. Warszawy, na którego przed tygodniem na ulicy dokonali zamachu robotnicy strejkujący, raniąc go ciężko 4 kulami.

i minister rodak Pacak). W ten sposób zachowaną jest równowaga wobec Niemców i istnieje gwarancya, że polityka rządu pójdzie w kierunku autonomicznym. Program nowego gabinetu będzie zapewne polegał przedewszystkiem na załatwieniu ugody z Węgrami i skłonieniu parlamentu do uchwalenia reformy wyborczej. Wreszcie gabinet ten kierować będzie prawdopodobnie najbliższemi wyborami do zreformowanej Rady państwa. Program ten na pozór skromny, wypełni chyba dostatecznie okres czasu, przez jaki nowemu rządowi danem będzie istnieć.



Fot. N. Lissa, nadworny fotograf we Lwowie.
Smutny koniec: Znany w szerokich kołach Lwowa obywatel i sportsman, Jan Kanty Fibich, który odebrał sobie życie w Monte Carlo. (Do artykułu na str. 19).

Zamach na inżyniera.

I znowu spełniono w Warszawie jeden z tych czynów, które tylko zgrozę i potępienie obudzić mogą. O godz. 8 zrana, gdy inżynier Alfons Grotowski, główny zastępca naczelnego inżyniera budowy kanalizacyi m. Warszawy, podchodził do przystanku tramwajowego na rogu Alei Jerozolimskiej i Żelaznej, podbiegło do niego dwóch wyrostków, w wieku od lat 17 do 18 i dało cztery strzały z rewolweru. Po dokonaniu tego, napastnicy zbiegli. Inżynier Grotowski otrzymał trzy rany po-



Na jak długo: Liberalny poseł niemiecki, rektor akademii agronomicznej w Wiedniu, dr. Gustaw Marchet, który został ministrem oświaty w Austryi.

strzałowe: w usta, w bok i lewą rękę, oraz od czwartej kuli kontuzyę w szczyt czaszki. Pierwsza kula wybiła mu zęby i złamała szczękę, drasnęła język i wyszła bokiem przez policzek; druga utkwiła w prawym boku u wierzchołka płuc; trzecia trafiła w lewe ramię i utkwiła pod skórą. Choć tak ciężko zraniony, inżynier Grotowski nie stracił przytomności, ani nie upadł, lecz zawrócił w stronę ul. Nowogrodzkiej, aby udać się do szpitala. W tej chwili nadbiegły ku niemu, idące za nim w odległości 30 kroków, żona oraz córka, p. Krzy-



Fot. dla „Nowości Illustr.“ Cz. Kulewski, Nowy Świat w Warszawie.
Związek Młodzieży w Warszawie: Grupa uczestników wycieczki do Ursynowa, członków Związku Młodzieży, odbytej w ubiegłą niedzielę.

muska z wnuczką. Panie te wyszły z domu zaraz za inżynierem Grotowskim, który miał wsiąść do tramwaju i pojechać na plac Teatralny do biura kanalizacyi, pani Grotowska zaś z córką miała odprowadzić wnuczkę na pensyę i pójść potem do kościoła.

W szpitalu po zbadaniu rannego okazało się, iż skutkiem wielkiego upływu krwi, jest on bardzo osłabiony, z operacyą więc należy się wstrzymać. Stan 74-letniego starca jest groźny.

Z opowiadań rodziny i osób bliżej wtajemniczonych w wypadki ostatnich czasów, sądzić można, iż zbrodniczy ten napad ma związek z nie-



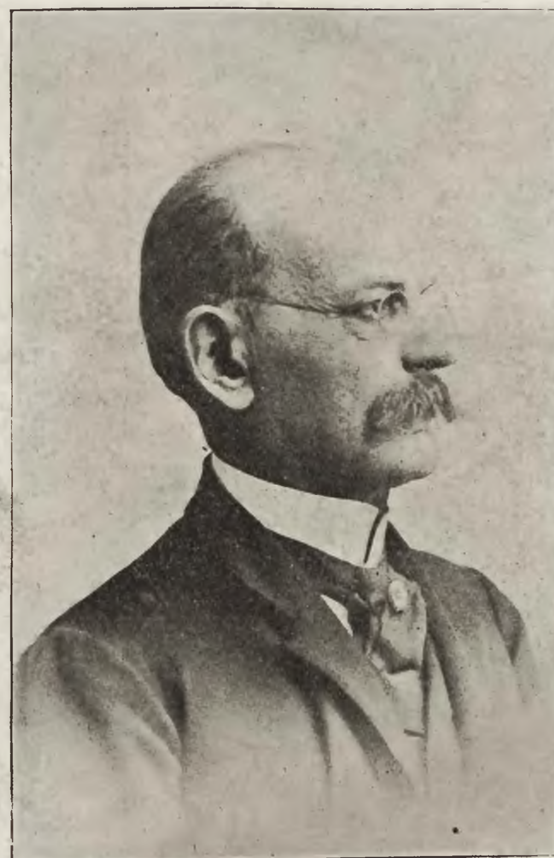
Spowiednik młodzieży: Zmarły w tych dniach popularny kapłan-filantrop, zaufaniem młodzieży cieszący się, śp. ks. kanonik Władysław Seroczyński.

dawno ukończonem wrzeniem strejkowem w przedsiębiorstwach miejskich.

Inż. Grotowski zajął wobec ruchu stanowisko bezwzględnie uczciwe, starając się łagodzić zatarg robotników z magistratem, który wręcz odmówił zadosyćuczynieniu żądań strejkowych.

Lekarz-jubilat.

W Resursie obywatelskiej w Warszawie obchodzono w tych dniach jubileusz 25 lat pracy w szpitalu ewangelickim dra Władysława Stankiewicza, którego portret zamieszczamy z tej okazyi.



Adwokat pod sądem: Magister prawa i administracyi Wacław Horodyński, adwokat przysięgły w Warszawie.

Jubilat urodził się w Warszawie 1837. Z braku funduszów na posyłanie syna do gimnazyum ojciec oddał go na praktykę do apteki. Lecz zawód ten nie podobał się przyszłemu chirurgowi.

Po otrzymania stopnia podaptekarza w r. 1856 wstąpił na kurs farmaceutyczny, a jednocześnie uzupełniał studya, aby uzyskać świadectwo dojrzałości, poczem wstąpił na wykłady lekarskie w Akademii medyczno-chirurgicznej. W r. 1858 został prowizorem farmacyi. Egzamin na stopień doktora medycyny zdawał w r. 1862 w części w Akademii lekarskiej, a w części w byłej Szkole głównej. Zdawszy go „cum eximia laude“, został asystentem przy katedrze kliniki chirurgicznej prof. Le Bruna. W czasie powstania często wyjeżdżał celem udzielenia pomocy rannym, przyczem wykonał z górą 800 operacyi. W dniu 31-ym grudnia 1863 roku, zagrożony aresztowaniem, wyjechał potajemnie za granicę, ale skorzystał z tego, aby kształcić się dalej we Wrocławiu, Paryżu i Wiedniu. W r. 1865 powrócił do Warszawy i praktykował prywatnie w szpitalach. Dopiero w r. 1869 dr Sikorski wezwał go do prowadzenia oddziału chirurgicznego w szpitalu prywatnym dla dzieci przy



Lekarz-jubilat: Dr. Władysław Stankiewicz, od lat 25 ordynator szpitala Ewangelickiego w Warszawie.

ul. Solnej. Oddział ten dr Stankiewicz rozwijał stopniowo. W r. 1872 został ordynatorem nadetatowym szpitala dla dzieci przy ul. Aleksandrya, w r. 1875 ordynatorem młodszym, w r. 1877 opuścił ten szpital, aby urządzić oddział chirurgiczny w szpitalu na Woli, w r. 1880 objął takiż oddział w szpitalu ewangelickim, którego w r. 1900 został lekarzem naczelnym. Jako chirurg kolei Wiedeńskiej, wprowadził liczne ulepszenia.



Fot. dla „Nowości Illustr.“ Czesław Kulewski, Nowy Świat w Warszawie.

Związek Młodzieży w Warszawie: Grupa członków zarządu Związku Młodzieży. Licząc od lewej ku prawej powyżej stoją: Marya Dubowik, Henryk Hummel, Wanda Lewińska, Feliks Nurzyński, Paulina Chrystowska, Henryk Porzycki, Marya Miszewska, Eugeniusz Śmiarowski, Zofia Szumska, Wacław Szumański, Marya Wyszomierska, Wacław Jakacki. W krzesłach siedzą poniżej od lewej ku prawej: Jadwiga Lewandowska, Zofia Jakimowicz, Helena Młodzianowska, Lucyan Parzynski, Władysława Wyszomierska, Zofia Lewińska. U ich stóp siedzą: Wacława Hertz, Marcela Szenwald, Witold Młodzianowski.

Adwokat pod sądem.

We czwartek ubiegły przed kratkami Warszawskiej Izby Sądowej stanął adwokat przysięgły Wacław Horodyński, jako oskarżony o obrazę sądu. Kiedyś bowiem, wprowadzając sprawę, chciał się w tej odpowiedzi obrazy sądu, wytoczył adw. H. sprawę. Obronę wnosił mec. Pepłowski; Izba Sądowa adw. H. uniewinniła.

Tu warto poświęcić słów kilka osobie oskarżonego. Niebawem po organizacyi sądowej Horodyński osiadł jako adwokat przysięgły, w Piotrkowie. Będąc człowiekiem nieposzlakowanego charakteru i pełnym cnót, obywatelem-patryotą, adw. H. w krótkim czasie pozyskał sobie zaufanie i sympatyę całego Piotrkowa. Dowód tych uczuć piotrkowianie dali, wybierając adw. H. na naczelnika miejscowej straży ochotniczej. Jako naczelnik straży, adw. H. wezwany został kiedyś do sądu na świadka. Tu gdy przyszło do zeznań, adw. H. odmówił zeznań w języku rosyjskim, rozumując, że występuje w danej chwili nie jako adwokat, lecz jako osoba prywatna, świadek. Z tego powodu adw. H. wytoczono „dyscyplinarkę“, w której skazano go na 3 miesiące zawieszenia kancelaryi. Wkrótce jednak dano mu dymisyę ze stanowiska radcy prawnego Banku państwa, usunięto z posady radcy prokuratoryi, a nadto nie zatwierdzono jako członka Rady Piotrkowskiego Tow. Dobroczynności.

wnosić obronę po polsku, a gdy prezes sądu, Kraszciminnikow zaoponował przeciwko temu i zapytał szorstko adw. H. „jak dawno jest adwokatem, że nie wie, jakie są przepisy prawne“ — ten mu odrzekł: „tak dawno, że powinienem już oddawna siedzieć na pańskiem miejscu“.. Sąd dopatrzył



Umyślne zdjęcie dla „Nowości Illustr.“; aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.

Match footballowy: Zapasy młodzieży w piłkę nożną w Krakowie: Zwycięzki „klub czarny“ ze Lwowa (w kostyumach) i krakowska drużyna footballistów (w mundurkach); pośrodku dr. Jordan i kierownicy zapasów.



Fot. dla „Nowości Illustr.“ E. Pierzchalski.

Wielki zjazd gości w Krakowie: Powitanie kilku tysięcy uczestników wycieczek z trzech dzielnic Polski na dziedzińcu Zamkowym na Wawelu

Szykany te w krótkim czasie zaszły tak daleko, że adw. H. nie pozostawało nic innego, jak wyjechać z Piotrkowa. Zamieszkał więc w Warszawie, gdzie obecnie prowadzi kancelaryę.

Związek Młodzieży w Warszawie.

Podajemy dziś Czytelnikom dwie grupy fotograficzne członków nowej a niezwykle pożytecznej instytucyi pod nazwą „Związek Młodzieży“. Jedna fotografia przedstawia członków stowarzyszenia tego na wycieczce, druga zaś wyobraża obecny Zarząd Związku w komplecie. Ryciny te uzupełniamy objaśnieniem, jakie cele ma komitet, którego biuro mieści się w Warszawie przy ul. Składowej l. 7.

„Związek Młodzieży“ stawia sobie jako główny cel krzewienie oświaty wśród tych warstw społecznych, które z powodu swej niemocy materyalnej są jej pozbawione, i niesienie pomocy materyalnej pozbawionym pracy. Dla urzeczywistnienia pierwszego z celów powyższych „Związek Młodzieży“ zwalcza analfabetyzm drogą nauczania początkowego; zakłada kursa wyższego nauczania; dostarcza uczniom możliwie przystępnej treści książek z biblioteki własnej. Dla urzeczywistnienia drugiego z celów powyższych „Związek Młodzieży“ niesie pomoc doraźną: materyalną i lekarską; pośredniczy swym biednym w wyszukiwaniu pracy.

„Związek Młodzieży“ jest jako organizacya bezpartyjnym i stoi na gruncie bezwzględnej tolerancyi narodowej, wyznaniowej i partyjnej.

„Spowiednik młodzieży“.

Ubył Warszawie i jej ludności katolickiej jeden z najgorliwszych ludzi kapłanów, nauczyciel religii światły, młodzieży oddany, proboszcz i duszpasterz w zabiegach około podniesienia aureoli i znaczenia świątyni jednej z największych parafii warszawskich niestrudzony, opiekun ubogich, nieszczęśliwych i maluczkich, nie rozgłośny, lecz pilny, przystępny, serdeczny i dlatego w szerokich kołach miasta popularny. Popularnością tą cieszył się zwłaszcza ś. p. ks. kanonik Władysław Seroczyński śród młodzieży szkolnej, której przed niedawnemi jeszcze laty był wybranym, ulubionym, zaufanym, prawdziwie wpływowym spowiednikiem. Umiał bowiem zmarły kapłan niezwykłą pobłażliwością i wyrozumiałością na błędy dusz dziecięcych swoich młodocianych petentów tak dobroczynnie na nich oddziaływać, że odchodzili od konfesyonału nietylko nawróceni, ale przedewszystkiem umocnieni na duchu wtedy, kiedy duch ten w okropnych do niedawna warunkach szkoły naszej, pociechy i pokrzepienia naprawdę łaknął i potrzebował. Słusznie więc nazywano swego czasu ogólnie ś. p. ks. Seroczyńskiego „spowiednikiem młodzieży“, która teraz nad trumną jego łzę uroni.

Wielki zjazd gości w Krakowie.

Dorocznym zwyczajem zjechało do Krakowa i tym razem na Zielone Świątki wielkie mnóstwo gości z wszystkich trzech dzielnic Polski. Było więc kilka wycieczek rodaków ze Śląska austryackiego i pruskiego; było więcej nawet, niż po inne lata, Królewiaków, zwłaszcza z pasa pogranicznego, z Zagłębia Dąbrowskiego i z okolic Częstochowy. Najliczniejsza wycieczka przybyła z drugiego krańca Galicyi, z ruskich stron, ze Stanisławowa i jego okolic nad Bystrzycami — w pokaźnej liczbie około 600 osób. Osobno przywiozły pociągi kilka wycieczek młodzieży szkolnej, jak gimnazyalistów z Drohobycza, seminarzystów ze Lwowa i Rzeszowa, wreszcie dzieci szkolne z Otfinowa.



Umyślne zdjęcie dla „Nowości Illustr.“; aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.

Match footballowy: Zapasy młodzieży w piłkę nożną w Krakowie: Zwycięski „klub niebieski“ ze Lwowa (w koszulkach) oraz drużyna krakowskich footballistów (w mundurkach); pośrodku dr. Jordan i kierownicy zapasów.



Krwawy dramat w Czerniakowie: Wacław i Czesław bracia Kopcowie, synowie przemysłowca z Sielc pod Warszawą, świeżo z więzienia uwolnieni bohaterowie dramatu, rozegranego na szosie czerniakowskiej, gdzie kozacy rozstrzelali dwóch uczniów. (Do art na str. 20).

Miłych gości witano serdecznie na dworcu kolejowym i z muzyką odprowadzano do kwater. Komitet pod kierunkiem p. Groelego zajął się tak gorliwie wycieczkowcami w ciągu świąt, że uczestnicy zobaczyli w tak krótkim czasie wszystkie rzeczy godne widzenia, tak umiejętnie podzielono



Krwawy dramat w Czerniakowie: Śp. Antoni Sokolnicki, uczeń kl. VI. gimnazyum gen. Chrzanowskiego w Warszawie, zabity na szosie czerniakowskiej przez kozaków i strażników. (Do art. na str. 20).

ich na kilkanaście grup i nie dano im czasu tracić naprożno. W niedzielę spotkali się wszyscy goście na dziedzińcu zamkowym na Wawelu, z czego skorzystaliśmy, żeby dać Czytelnikom fotografię na pamiątkę licznego zjazdu rodaków w Krakowie.



(Zdjęcie pośmiertne zakł. fot. Br. Mieszkowskiego).
Krwawy dramat w Czerniakowie: Śp. Adam Świderski, uczeń zakładu elektrotechnicznego, zabity przez kozaków i strażników ziemskich na szosie czerniakowskiej pod Warszawą (Do art. na str. 20).

Doraźny zlot Sokołów.

W poniedziałek Zielonych Świąt odbył się w Suchej pierwszy raz wogóle zlot doraźny, mający wykazać sprawność Sokołów naszych bez poprzedniego przygotowania. Tym razem więc Sokoli zostali zwołani nie na zabawę, lecz do służby sokolej, jak się wyraził prezes Turski, wyjaśniając przybyłym, dlaczego z tej okazyi nie będzie w Suchej bankietów, tylko ćwiczenia i zapasy. Z 36 gniazd okręgu krakowskiego stawiło się 20 i kilka, z tych Kraków, Podgórze i Skawina najliczniej. Zjawili się i goście zakordonowi. Zlot udał się najzupełniej. Ćwiczenia popisowe pod kierunkiem druha Rucińskiego wykonano składnie i zręcznie. Przy tej okazyi wygłoszono kilka patryotycznych mów podniosłych.

Mimo deszczu pochodowi gości w Suchej i ćwiczeniom przyglądały się rozentuzyazmowane tłumy, którym najbardziej podobały się popisy gimnastyczne Sokolic podgórskich i krakowskich.

Match footballowy.

W drugi dzień Zielonych świąt odbył się w parku dra Jordana w Krakowie turniej piłki nożnej. Wzięła w nim udział młodzież lwowska, która specyalnie w tym celu do Krakowa przybyła i najlepsi gracze z pośród młodzieży krakowskiej. Turniej ten zgromadził w parku tłumy publiczności, które zbitą masą otoczyły olbrzymie boisko, gdzie miały się rozegrać zapasy.

Z jednej strony boiska stanęli „czarni“, wyłącznie uczniowie lwowskiej szkoły realnej, po drugiej stronie nasza młodzież w mundurkach. Kierownik zapasów dr. Kazimierz Hemerling dał znak do rozpoczęcia walki. Od pierwszego momentu widać było, że „czarni“ mają nietylko doskonałe wyrobienie, ale i wielką zręczność i przytomność. Nasza młodzież dzielnie dotrzymywała placu, jednak po półtora godzinnej walce została pokonaną. „Czarni“ lwowiacy zwyciężyli w stosunku 2 : 0.

Do walki z partyą „niebiesko-czerwonych“ — na fotografii załączonej na str. 17 niebieskie kaftaniki wyglądają biało — stanęli akademicy i młodzież rękodzielnicza. Po godzinnej walce „niebiesko-czerwoni“ lwowiacy odnieśli świetne zwycięstwo w stosunku 4 : 0.



Turski. Ruciński.
Doraźny zlot Sokołów 36 gniazd okręgu krakowskiego 4 czerwca w Suchej. (Umyślne zdjęcie dla „Nowości Illustr.“; fot. E. Pierzchalski z Krakowa).

Smutny koniec.

(Do illustracyj na stronie 14).

W ostatnich latach znanym był powszechnie na bruku lwowskim młody, majętny człowiek, obracający się przeważnie w sferach sportowych, Jan Kanty Fibich. Już jako oficer kawaleryi, porucznik konsystującego we Lwowie pułku ułanów, wyrobił sobie imię sportowca, biorąc niejednokrotnie udział w wyścigach konnych. Później, wystąpiwszy z wojska, oddał się z namiętnością sportowi automobilowemu, a jego wehikuł, jeden z pierwszych tego rodzaju we Lwowie, znany był ogólnie, tem bardziej, że szybkością swą budził na ulicach miasta wielki postrach. Głośnym był również ze swych miłostek, w światku kobiecym zaś cieszył się dużem powodzeniem.

Żył wogóle bardzo wesoło, to też nie dziw, że majątek jego, choć bardzo znaczny, topniał dość szybko. Majątek ten odziedziczył on po babce p. Straszewskiej, która zostawiła piękną majętność Lipniki a w niej rafinerye nafty pod firmą „Fibich-Straszewska“. Nie czując powołania ani do gospodarki rolnej, ani do przemysłu-naftowego, odstąpił całą majętność swej siostrze zamężnej p. Byszewskiej, a sam zadowolił się sporą gotówką. Część kapitałów ulokował w terenach naftowych w Borysławiu, a że nadto po ojcu odziedziczył pewien udział w rafineryi pod firmą „Fibich-Stawiarski“, mimo iż udział ten bardzo prędko spieniężył, uchodził wszędzie za nafciarza, choć w rzeczywistości interesów naftowych nie prowadził.

Goniąc już ostatkami fortuny, ożenił się z młodą hr. Starzeńską, córką starosty w Podgórzu. Nie wiele to jednak wpłynęło na tryb jego życia, które też smutno się skończyło. Oto bowiem w zeszłym tygodniu nadeszła do Lwowa telegraficzna wiadomość, iż w Monte-Carlo, w tej znanej, nieszczęsnej jaskini gry, odebrał sobie życie Jan Kanty Fibich. Pojechał on tam z resztą pieniędzy, które mu ze znacznego majątku pozostały, a straciwszy i tę resztę, samobójstwem życia się pozbawił.



Fot. dla „Nowości Illustr.“ E. Pierzchalski z Krakowa.

Doraźny zlot Sokołów: Delegaci Sokołów włościańskich ziemi krakowskiej, przybyli na zlot do Suchej.

„Mateczka“.

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.

Napisał Bronisław Mazowiecki.

9 (Ciąg dalszy).

Wówczas Felicya zaczęła prawić jej morały na temat próżności, płochej lekkomyślności, rozrzutnego życia, zamiłowania do zbytków, wygód i uciech ziemskich... Więc kiedy tego było pani Edwardowej za wiele, zerwała się z krzesła i prostując się dumnie, zawołała:

— Zaprzestań pani, jeżeli chcesz, bym do końca szanowała w tobie osobę gościa mego domu... Jakiem prawem wogóle mieszasz się pani w moje osobiste sprawy, na jakiej podstawie traktujesz mnie, jak gdybym pozostawała pod twoją kuratelą!

— Bóg dał mi władzę nad duszami — odparła na to spokojnie siostra Felicya, przybierając minę skromną i ręce składając jakby do modlitwy.

Pani Edwardowa wzruszyła ramionami.

— Nie wiem, czy mam panią uważać za waryatkę na równi z owym księdzem, którego tu sobie przywiozłaś, czy też mieć panią za kobietę złą i przewrotną, pod płaszczykiem obłudnie pobożnej dewotki.

— Nie bluźnij, siostro....

— Opętałaś mi pani męża, bałamucisz mi dzieci.... Mnie na to oszustwo religijne nie złapiesz!

Podczas słów dziedziczki siostra Felicya zaczęła się modlić, mrucząc:

— Odpuść jej, Matko Boża, nie odmawiając swej Nieustającej Pomocy duszy zbłąkanej i piekłu zaprzedanej, albowiem nie wie, jak bluźni Tobie słowami obelg na mą głowę ciskanemi w złości.... albowiem nie wie co czyni w braku Łaski Twojej... Daj mi moc Swoją, bym ją zdołała w porę oświecić.....

Lecz pani Edwardowa, nie zważając na to, mówiła dalej bez przerwy głosem podniesionym, jakkolwiek w tonie godności swej nie zatracając:

— Nie dość, że pogłębiwszy przepaść między mężem a mną, stałaś się pani jego kochanką pod pozorem dewocyi i mistycyzmu, to jeszcze w najbezczelniejszy sposób okradasz nasz majątek..... Nie udawaj pani, że się modlisz, nie udawaj, że klepiąc pacierze, moich słów nie słuchasz... Owszem chcę, żebyś słyszała, iż o wszystkiem wiem, nie tajne mi wcale, co pani wyprawiasz tam we dworze moim opanowawszy wszystko. Nie cofam wcale tego, com powiedziała... Jestem przeświadczona, iż postępowanie pani mam prawo nazwać prostem okradaniem majątku mego i mego męża. A nie sądź pani, że praw swoich do majątku nie myślę bronić; własności swoich dzieci nie pozwolę dzisiaj rabować pierwszej lepszej oszustce, podobnie jak będę zawzięcie broniła praw swoich małżeńskich względem mego męża, przeciwko jego kochance.

Przez ten czas siostra Felicya klęczała, różaniec odmawiając, w rogu jadalni, gdzie na półce urządzony był przez dziedzica ołtarzyk Matki Boskiej, z płonącą wiecznie lampką wśród kwiecia.

— Boże — szeptała chwilami głośniej, przerywając sobie pacierze, ile razy głos dziedziczki stawał się groźniejszy — cud ześlij, by oświecić przez dyabłów opętaną duszę....

— Źleś pani trafiła — mówiła coraz bardziej wzburzona dziedziczka, chodząc tam i z powrotem po dużym pokoju — sądziłaś, że i ze mną pójdzie tak łatwo jak z mężem. Jam nie taka mistyczna, nie dam się wziąć na objawienia.... Dobrze się stało, żem panią widziała, przynajmniej wiem, że moja rywalka nie jest tak niebezpieczną, jakby się zdawało. Zresztą wyobrażałam sobie, że mam do czynienia z jeszcze przebieglejszą oszustką. A na paninej komedyi pozna się każdy głupiec

— Cudu.... cudu, błagam Cię, Pani Święta!

— Możesz sobie pani oszczędzić fatygi; powtarzam, że mnie te historye nie wzruszą — zaśmiała się młoda kobieta i plecyma do pokoju odwrócona, zatrzymała się przed oknem, patrząc na dziedziniec.

— Bądź pani spokojna, mąż mój do mnie powróci, tyś nie zdolna mnie jemu zastąpić. Ani piękności mojej nie masz, ani wdzięku młodości...

Wtem hałas i brzęk głośny rozległ się w pokoju.

Dziedziczka obejrzała się nagle poza siebie.

Siostra Felicya na podłodze leżała krzyżem, na tem samem miejscu, w rogu pokoju, a dokoła niej kwiaty i szkło różnokolorowe potłuczone, a w kałuży wody i oliwy bieliły się duże czerepy wysokiej figury gipsowej Matki Boskiej,

Podbiegła tam pani Edwardowa i przypatrzywszy się bacznie szczegółom małej katastrofy, zawołała do nieruszającej się z miejsca, rozkrzyżowanej na podłodze Felicyi:

— A to z pani niezręczna cudotwórczyni..... Dziś nawet dzieci za mądre, żeby ci się udało zwodzić w taki sposób.... Być może, że mąż mój uwierzyłby ci w ten cud, na gwałt wywołany dla zamknięcia mi ust, dopóki bym mu niepokazała dowodów, aż zbyt widocznych, że zanim rzuciłaś się krzyżem na podłogę, szarpnęłaś pani gwałtownie zwisające z półki firaneczki, aż je rozdarłaś, żeby ściągnąć z ołtarzyka figurę, lampkę i flakony z kwiatami.... Teraz mogę mieć do pani słuszną pretensyę o potłuczenie mi tyle szkła.

. . . .

Zabrano się do instalacyi na folwarku chorego księdza, któremu przeznaczono z wyraźnej woli dziedzica duży i ładny pokój z oknami na sad wiśniowy.

Z pokoju tego jedne drzwi wiodły do przedsionka naprzeciw spiżarni a nieopodal kuchni, przez drugie zaś drzwi mieszkanie chorego łączyło się bezpośrednio z salą jadalną, która znowu oddzielała jego pokój od sypialni pani Edwardowej.

Kiedy dziedziczka dowiedziała się, iż siostra Felicya bez względu na przyjęcie, jakiego z jej strony tutaj doznała, ma ochotę bądź co bądź przenocować na folwarku i wracać do dworu dopiero nazajutrz — poleciła służbie przygotować dla tercyarki nocleg na wygodnej kanapie w jadalni.

Ksiądz znużony podróżą i milczący zupełnie od wyjazdu z Płocka, gdy mu tylko pokój przygotowano, rozebrał się, położył i półgłosem zaczął się modlić.

Dziedziczka wydawszy dyspozycye, cofnęła się do swego pokoju i jakkolwiek wzburzona rozmową z niespodziewanym gościem, nie kładła się jeszcze, to jednak do wieczerzy nie wyszła i kazała przeprosić tercyarkę, że czuje się cierpiącą.

W ten sposób do kolacyi zasiadła Felicya sama i jadła z widocznym apetytem. Następnie wyszła do kuchni i tam zasypywała pytaniami starą służącą, która zoryentowała się zaraz, że gość w zakonnej sukience, wzbudzającej w niej w pierwszej chwili pewien szacunek, spełnia misyę szpiegowską. Musiała jednak być zbyt przywiązaną do swojej pani, skoro nie pozwoliła na dalszą indagacyę i rychło pozbyła się z kuchni intruza, poczęstowawszy tercyarkę wiązanką słów nieprzyjemnych.

Ta wszakże nie dała za wygrane.

Przez cały wieczór krążyła po dziedzińcu, zaglądała do wszystkich kątów i kogo mogła, przyłapywała, byle się czegoś dowiedzieć.

Ale i tutaj spotykało ją mniej więcej to samo, co w kuchni.

Wreszcie zła wróciła do domu, przygotowując się do nocnego spoczynku.

Drzwi do sypialni pani Edwardowej były zamknięte, a za niemi panowała cisza zupełna. Naprzeciwko drzwi do pokoju księdza Jana zastała niedomknięte a z wewnątrz słychać było mruczenie, chwilami głośniejsze, to znów przycichające.

Wkrótce światło w jadalni zgasło. Felicya położyła się i pani Edwardowa nie słyszała nic więcej przez parę godzin, jak tylko dolatujące chwilami z trzeciego pokoju echa głośniejszego pomruku waryata.

Słysząc to, rozmyślała właśnie, co za przykry los czeka ją odtąd w tak bliskiem sąsiedztwie człowieka pozbawionego zdrowych zmysłów, gdy wtem — a było to koło północy — zerwała się przerażona jakimś niezwykłym hałasem wśród ciszy wiejskiej.

Nadsłuchiwała przez chwilę uważniej, ale nie mogła zrozumieć, co zaszło. Poskoczyła do drzwi i nie otwierając ich, przytknęła ucho do szpary.

Hałas w trzecim pokoju wzmagał się.

Nagle do uszu jej doleciał groźny krzyk męski zmięszany z przeraźliwym jękiem kobiecym.

Dziedziczka gwałtownie drzwi otwarła, przebiegła przez ciemną jadalnię w stronę otwartych drzwi do pokoju waryata, skąd biła jasna smuga światła. Lecz w tejże chwili cofnęła się, rzuciła się ku swoim drzwiom i pośpiesznie zamknęła się na klucz we własnej sypialni, drżąc na całem ciele.

Jednocześnie otwarły się drzwi od przedsionka i w progu pokoju księdza stanęła stara służąca, która również z krzykiem uciekła, drzwi nie zamykając i wypadła na dziedziniec, wołając pomocy.

C. d. n.

Krwawy dramat w Czerniakowie.

Było to późnym wieczorem 25 maja. Czterej młodzieńcy: Wacław i Czesław Kopcowie, synowie malarza-dekoratora z Sielc za rogatką Wilanowską pod Warszawą, i Adam Świderski, uczeń zakładu elektrotechnicznego, oraz Antoni Sokolnicki, uczeń VI. kl. gimnazyum Chrzanowskiego, również przy rodzinie zamieszkali w Sielcach — wyszli razem na przechadzkę po dniu skwarnym. Około godziny 11-ej doszli rozmawiając do Czerniakowa. Tu za kościołem, Świderskiemu, który był z nich usposobienia najbardziej gorącego — przyszła myśl zmącić ciszę wieczorną wystrzałem z rewolweru, który dla bezpieczeństwa był wziął ze sobą z domu. Po jednym strzale chłopcy zawrócili w stronę Sielc. Już na terytoryum Sielc, koło krzyża, Świderski wystrzelił powtórnie. Gdy zaledwie kilkanaście kroków po tym strzale chłopcy zrobili w stronę Sielc, dały się słyszeć okrzyki.

— Stój... stój... ręce do góry! — a jednocześnie wszyscy 4-ej z przerażeniem ujrzeli w odległości kilkunastu kroków dwa szeregi wojska, zmierzające w ich stronę. Na okrzyki „stój“, chłopcy zatrzymali się. W tejże chwili do jednego z Kopców podbiegł jeden z patrolu, młodszy strażnik, Datjenko, schwycił K. za ramiona i trząsł wołając:

— To ty, Kopiec, Kopiec... Następnie nagle puścił K., dobywając rewolwer i wystrzelił dwukrotnie przed siebie, mierząc w K. Kule ominęły K., ugodziły natomiast stojącego tuż za nim Sokolnickiego. Bezpośrednio po strzałach strażnika padło kilka strzałów z oddziału kozaków, z których jeden ranił śmiertelnie Świderskiego. W chwili, gdy jeden K. borykał się ze strażnikiem, drugi widząc, że jeden z kozaków mierzy doń z karabinu, rzucił się ku strzelającemu i schwycił za lufę karabinu, tak, że strzał padł w powietrze. Poraniwszy ciężko Świderskiego i Sokolnickiego — kozacy i strażnicy, których razem było 20 — obezwładnili natychmiast obu K. Do rannych wezwano z pobliża dr. Jędrzejewskiego, który stwierdził skon Sokolnickiego i ciężką ranę u Świderskiego, który przewieziony do szpitala św. Rocha, nazajutrz rano zmarł.

Obu Kopców odprowadzono do gminy w Mokotowie, a następnie do więzienia na Pawiak. Stamtąd uwolniono ich obu w tych dniach bez kaucyi, ale oddano pod dozór policyjny. Tragiczny przebieg zajścia tłomaczą bracia Kopcowie złością, jaką strażnik Datjenko do nich żywił. D. znał ich wszystkich dobrze, gdyż w domu rodziców K. mieści się urząd gminny. Do Świderskiego D. czuł urazę z powodu, że kiedyś cofnął rękę, gdy mu D. na powitanie podał, usprawiedliwiwszy dlaczego ją cofa. Co zaś do braci K. — to posądzał ich o to, że po 1 maja r. b. ogłosili w dziennikach, że D. rozpędził garstkę ludzi, śpiewających pod krzyżem.

W dzisiejszym numerze znajdą Czytelnicy fotografię braci Kopców, oraz zdjęcia pośmiertne śp. Świderskiego i śp. Sokolnickiego. Przy trumnie tego ostatniego widnieją liczne wieńce z napisami na wstęgach: ofierze ohydnej zbrodni, ofierze brutalnej napaści, ofierze mordu, niewinnie poległemu itp., od kolegów, przyjaciół i rodziny, jeden wreszcie napis brzmiał: Nieodżałowanemu organizatorowi — „Jutrzenka“.

Zabici w dorożce.

Przed godziną 11-tą przedpołudniem pomocnik komisarza 7-go cyrkułu wolskiego w Warszawie sekretarz gubernialny, Stanisław Kowalski, wsiadł przed kancelaryą cyrkułu na ul. Chłodnej do dorożki jednokonnej, każąc wieźć się na ul. Elektoralną. Z Kowalskim wsiadł do dorożki towarzyszący mu młody policyant, Wojciech Barański. Z powodu deszczu buda dorożki była podniesiona. Kiedy dorożka, wioząca Kowalskiego i Barańskiego, dojeżdżała do ulicy Solnej, przed domem Nr. 24 przy ulicy Elektoralnej, z drugiej dorożki, z budą również podniesioną, jadącej za dorożką Kowalskiego, rozległ się nagle strzał. Przestraszony nim widocznie dorożkarz przystanął, a wówczas z dorożki tej wyskoczyło trzech młodych mężczyzn, z których dwaj pędem dopadli do dorożki, wiozącej Kowalskiego, wskoczyli na jej stopnie, trzymając się ręką zawiasów budy, a drugą rękę wsunąwszy w nią, nie widziani przez tak znienacka napadniętych, strzelali w Kowalskiego i Barańskiego na oślep. Cała ta scena rozegrała się w mgnieniu oka, poczem trzej sprawcy zamachu zeskoczyli z napadniętej dorożki i zbiegli w ulicę Solną, przez nikogo nie ścigani. Dorożkarz wiozący Kowalskiego i Barańskiego, zaciął konia i, dowiózł obydwu do położonego o kilkadziesiąt kroków szpitala św. Ducha, gdzie służba szpitalna wyniosła z dorożki obydwu już dogorywających, wydających ostatnie tchnienie.

Pomocnik komisarza Kowalski, siedzący z prawej strony, był wpół zgięty w budzie i, jak twierdził lekarz miejscowy, otrzymał trzy kule z brauninga — wszystkie w klatkę piersiową, z których



Zabici w dorożce: Pomocnik komisarza VII cyrkułu Wolskiego m. Warszawy, Stanisław Kowalski, zabity przed tygodniem wraz ze stójkowym Rochem Barańskim, w dorożce w przejeździe ulicą Elektoralną.

jedną w serce, przyczem uległy przestrzeleniu mankiet prawego rękawa i szynel. Policyant Barański otrzymał pięć kul również w klatkę piersiową i serce. O ratunku nie mogło być mowy. Zgon nastąpił natychmiast. Zabity pomocnik komisarza Stanisław Kowalski był katolikiem, rodem z gub. podolskiej. W cyrkule VII-ym był pomocnikiem od stycznia, dokąd przeniesiono go z cyrkułu X-go nowoświatowego. Zabity policyant Barański, również katolik, niedawno służył w policyi warszawskiej, przeniesiony do niej ze straży ziemskiej.

Rozwiązanie zagadek z Nru 21.

Szarady.

I. Secesya.
II. Firmament.

Zagadka.

Z, E**m**a, Al**i**na, pr**a**wa, ho**n**or, ob**a**wa, Ru**g**ia, pi**a**na, ra**b**in, chw**i**lka, ra**n**ek, Br**e**st, Za**t**or, t**u**m, E**w**a, J**a**n, t**u**r, a**s**y, s**t**o, ha**r**fa, Rad**y**mno, Karp**i**ński,

Zmiana gabinetu w Austryi.

Łamigłówka.

Wyrazy podane należało ustawić jak następuje:

Zy**g**munt, Ta**r**nów, Sk**a**wa, Ła**b**a, Dr**o**hobycz, Ło**w**icz, ka**s**ztelan, Li**k**urg, Dn**i**epr, le**w**ita, or**a**nżerya, pe**l**ikan, At**e**ny, Ra**w**ita, Ne**s**tor, Ry**k**sa, If**i**genia, De**m**ostenes, Am**o**r, Ka**r**yntya, et**a**żerka, Da**w**id, Ru**s**seau, ta**k**sa mn**i**ch.

Grabowski, Walewski, Morawski.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: M. Bartelmusowa Lwów, W. Stanula Samocice, K. Fuchs Peczeniżyn, H. Mokrzycka Turbia, K. Bobek Kraków, J. Kulczyńska Kraków, Z. Szymczakowska Kraków, L. Rączkowski Kraków, K. Konieczny Sękowa, K. Jasiński Kraków, M. Weimerowa Przybysławice, T. Domain Sanok, J. Wodziczkówna Germakówka, A. Batko Lwów, A. Surowiecki Kraków, J. Jaroszkówna Przybysławice, Tow. „Zgoda“ Krosno, Fr. Niepokój Krosno, E. Bogdalska Koropuż. J. Biegoń Sucha, A. St. Bassara Niwiska, H. Plechawska Stanisławów, M. Rożański Gorlice.

Nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek otrzymała p. **J. Jaroszkówna w Przybysławicach.** Prosimy o nadesłanie 72 halerzy na koszta przesyłki.

Zagadki do nagrody.

Szarady.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

I.

Pierwsze — to przyimek w łacińskim języku,
Drugie-trzecie-czwarte — różnej są wielkości.
Całość — w rachunkowym znajdziesz podręczniku.
Jeśli się uzbroisz w trochę cierpliwości.

II.

Która z pań *pierwsze*, że piękne ma *drugie i trzecie*,
Dumna jest z tego, lecz niech ma w pamięei,
Że wszystko przemija na tym biednym świecie
I nie wszystko złoto, co się pięknie świeci.
Gdy zbieżysz dokładnie galicyjskie miasta
Z pewnością napotkasz i miano *całości*
Co pamięta jeszcze dawne czasy Piasta,
Sławne dzieje naszej wspaniałej przeszłości.

Łamigłówka.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Podane poniżej wyrazy tak ustawić, aby ich *drugie* litery, czytane zgóry na dół, dały nazwiska trzech poetów, a litery *przedostatnie*, również z góry na dół czytane, dwóch powieściopisarzy polskich.

Wyrazy są następujące: alembik, aniołki, berma, Cezar, Filon, fiszbin, Mińsk, mysza, Newa, odwary, owocowy, oczko, powozy, snopki, Sofokles, spowiedź, szalik, wczora, uczysz zmrok.

Logogryf.

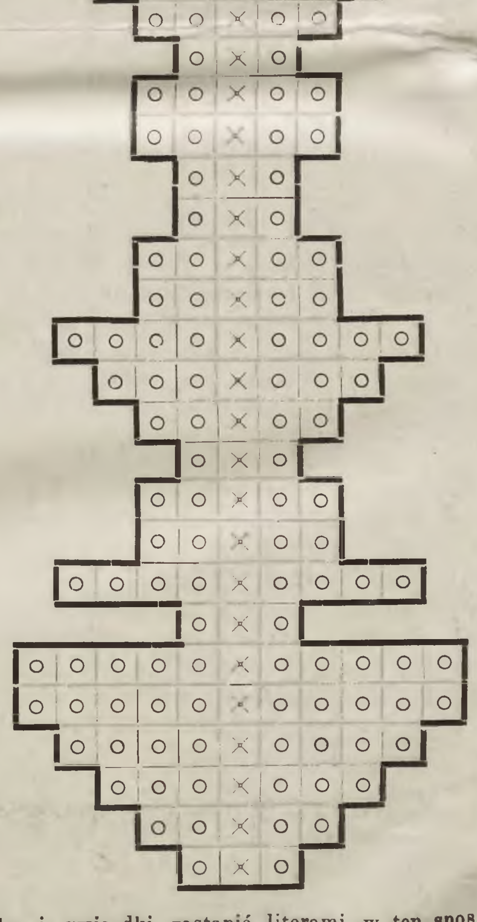
Ułożyła H. Plechawska w Stanisławowie.

Ze zgłosek: a, al, bor, dy, e, e, f e. ge, ki, kon, kran les, leu, meib, oa, na, nes, o, ra, rad, rew, ryk, sam, sco, si, te — ułożyć dziesięć wyrazów, których litery początkowe, czytane z góry na dół, utworzą imię, a litery końcowe, czytane w tymsamym kierunku, nazwisko słynnego polskiego artysty-śpiewaka.

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w zachodniej Afryce nad rzeką Kan. 2. Wyspa na morzu Adryatyckiem. 3 Inaczej zasłona. 4. Imię męskie. 5. Miasto w południowo wschodniej Galicyi. 6. Rodzaj malowidła na ścianie. 7. Dopływ Wisły. 8. Filozof grecki. 9. Nazwa członka towarzystwa antyalkoholicznego. 10. Rodzaj skorupiaków.

Zagadka.

Ułożył E Illukiewicz, Sambor.



Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane z góry na dół, utworzyły pierwsze słowa ślicznej pieśni, poświęconej Duchowi świętemu, a śpiewanej zwykle przed kazaniem.

Znaczenie wyrazów: 1. Imię żeńskie zdrobniałe. 2. Jeden z zakonów św. Franciszka. 3. Jarzyna u nas pospolita. 4. Drzewo, z którego wyrabiają najpiękniejsze meble. 5. Dopływ Wisły. 6. Członek narodowości, zamieszkującej wschodnią Galicyę. 7. Stary taniec francuski. 8. Niebezpieczne miejsce na rwącej rzece. 9. Co widzimy w nieczystej wodzie. 10. Jezioro w Poznańskiem. 11, To co jest w oknach. 12. Wesoła sztuczka teatralna. 13. Poetyczna nazwa anioła. 14. Jeden z najzdolniejszych posłów włościańskich w Galicyi. 15. Spód beczki. 16. Inaczej drzwi. 17. Piastunka domowego ogniska. 18. Jedno z najuroczystszych świąt katolickiego Kościoła. 19 Znak zdumienia lub zrozumienia. 20. Słynny wódz grecki. 21. Liczebnik. 22. Dom w mieście. 23. Nazwisko bohatera znakomitej sztuki Ibsena pt. „Budowniczy Solness“. 24. Handlowa reklama uliczna. 25. Narzędzie rolnicze.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza redakcya jako nagrodę **wspaniały tort migdałowy** z cukierni lwowskiej J. Michalika w Krakowie.